Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 5 grudnia 1937 r. — Nr. 49

REFLEKSJE SMUTNEJ GODZINY



Zaciemnia się horyzont
odwrotem wieczoru —
Wiatr rzucił w siną pustkę
miedziany kłąb piasku.
Skrzyżowała się rozpacz
z ostrą szpadą bólu
i smutek przesłoniła
zórz krwawym odblaskiem.

Stłumione łkania wiatru
i żal przygłuszony
i szelest słów zranionych
dostojnym cierpieniem...
a potem nagła cisza —
odpoczynek myśli — —
i płacz serdecznych wspomnień
w ukojnym westchnieniu —
Jak cicho — —
noc zapada
błękitną zasłoną —
Wiatr się drzewom daremnie
z tęsknoty tłumaczy —

Czym jest nasze cierpienie,
wobec cienia smutku?
czym smutek —
wobec pustki —
w otchłani rozpaczy...

Józef Baranowski.

15)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Za oknami świszczał wiatr, szalała śnieżna marcowa zawierucha, a w pokoju było jasno i ciepło.

Andrzej siedział na fotelu, przeglądając jakieś papiery, które mu przed wieczorem doręczył agent tajnej policji z Częstochowy.

Danka wcisnęła się w drugi, bliźniaczo podobny, odsunięty trochę w cień i oczami błądziła po suficie, krążąc myślami wokół Andrzeja i ich małżeństwa. — Co skłoniło go do ożenienia się, co spowodowało jego propozycję?

Już dwa tygodnie minęło od dnia ślubu, a nie mogła rozwiązać tej zagadki. Zatrzymała wzrok na głowie zaczytanego męża.

..Nie narzucał jej się, nie pytał o nic. Był najważniejszym i najtroskliwszym towarzyszem i opiekunem, nie żądającym jednak wzamian niczego.

— Andrzeju — odezwała się, parta chęcią rozwiązania pytania, które plątało jej się ustawicznie po mózgu.

Podniósł głowę z nad papierów, które czytał i spojrzał na nią badawczo.

— Dlaczego ożeniłeś się ze mną — co cię do tego skłoniło?

— Kocham cię — odpowiedział spokojnym głosem, jakby stwierdzał zjawisko tak naturalne, że nie potrzebuje żadnego więcej wyjaśnienia i znów schylił głowę nad dokumentami tak nisko, że dojrzała tylko zmarszczkę między brwiami.

Jej przez twarz przeszła łuna rumieńca, oczy zaniewidziły przez sekundę ze wzruszenia.

...Kocha ją! Czyż to może być prawdą? Byłoby to zbyt wielkim szczęściem...

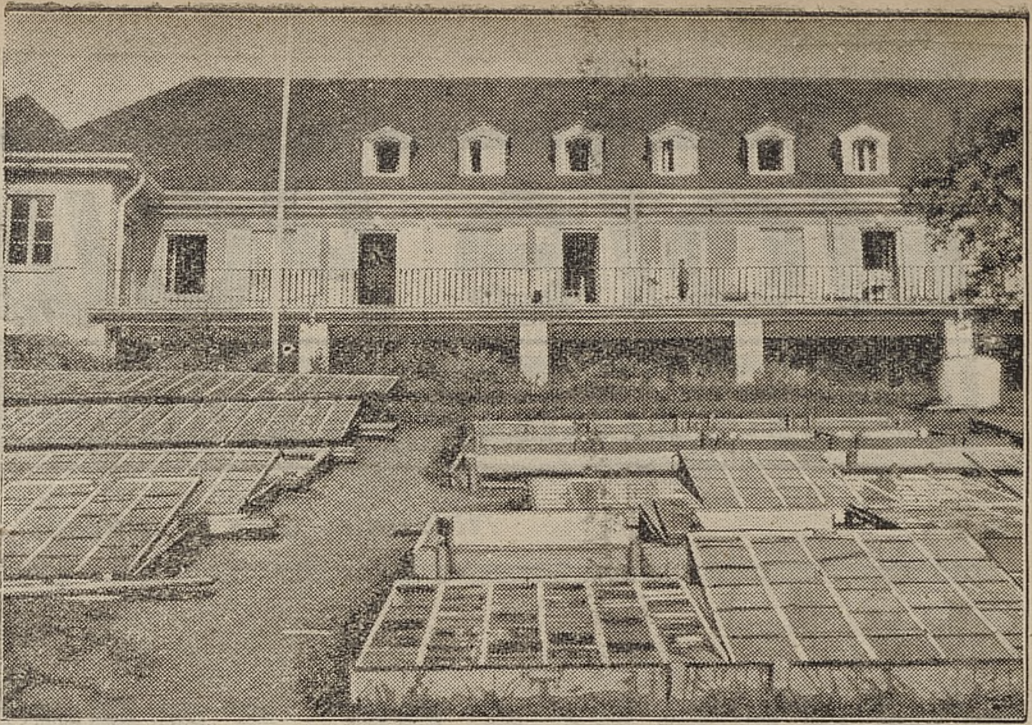
Zamrugała oczami. I znów zobaczyła blask lampy, jego głowę ze zmarszczką między brwiami i usta zaciśnięte boleśnie, jakby walczył z tym uczuciem, jakby żałował przyznania się do niego.

Zdmuchnęło to radość w jej duszy. Jeżeli ją kocha, to w każdym razie to uczucie nie daje mu szczęścia.

Łykała łzy, by nie spłynęły po twarzy spod zamkniętych powiek, by ich nie zauważył.

— Danko — dobiegło ją pytanie Andrzeja — czy masz jeszcze jakie klejnoty, należące do Pietrowa?

Krew rzuciła jej się znów do policzków, by odpłynąć od serca, zostawiając kredową bladość na twarzy. Łzy obeschły od razu pod powiekami. Wyprostowała się na fotelu, ale nie podniosła spuszczonych powiek, co zakrywały zmącone wstydem źrenice.



W Tebiudze w Niemczech otwarto sanatorium dla dzieci kolonistów niem. wyczerpanych pobytem w krajach podzwrotnikowych.

Odpowiedziała cicho, rwącym się głosem:

— W sefie Banku Handlowego mam schowane perły, butony brylantowe, szafirową agrafkę i parę pierścionków. Nie ukradłam ich — jak on mi zarzuca, ale i nie uważałam ich nigdy za swoje — usprawiedliwiała się pełna wstydu i lęku.

Odgadł mój stosunek do Pietrowa! — zahuczało Dance w mózgu. Poczuła chaos w głowie i ból szalony w piersiach. Wiedział, domyślał się — a mimo to ożenił się z nią i, jak sam mówił przed chwilą, z miłości. Nie rozumiała już teraz nic. Czuła, że stanęła jakby przed ścianą zagadek, przez które się przebić nie może.

Nachylił się ku niej, ujął w swoje ciepłe dłonie jej zaciśnięte zimne ręce i mówił łagodnie, jak do dziecka:

— Nie będziesz się na mnie gniewała, jeżeli ci doradzę żeby klejnoty te oddać rosyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi? Pochodziły one na pewno z grabieży.

Odpowiedziała potulnie:

— Naturalnie, sama o tym nieraz myślałam, ażeby je tam oddać...

Pocałował ją w obydwie ręce, jakby jej dziękował za zgodę.

— Następnym razem, gdy będziemy w Warszawie, obydwoje odniesiemy je tam.

Widząc jej strapioną i zawstydzoną minę, dodał, głaszcząc ją po ręce:

— Nie bój się maleńka, wszystko będzie dobrze...

Gdyby jej wolno było w to uwierzyć, gdyby wolno było...

Ale czyhała na nią wiedźma-troska z procesem Pietrowa.

* * *

Wezwanie w sprawie Pietrowa przyszło wcześniej, niż przypuszczał Andrzej.

Sąd odbywał się w Częstochowie przy drzwiach zamkniętych ze względu na tajemnice państwowe. Nie dopuszczano na salę nawet dziennikarzy i reporterów.

Odczytano akt oskarżenia. Opiewał on, że eks-komisarz Pietrow, podający się za hrabiego Bagrowcewa, poddanego polskiego, wprowadził w błąd rząd Rzeczypospolitej Polskiej, przedstawiając zdobyte zbrodnią dowody osobiste hrabiów Bagrowcewych za swoje; naraził rząd polski na stratę przez nieprawne objęcie w posiadanie dóbr Macierzanki i czerpanie z nich dochodów dla własnego użytku, które powinny były być przelane do skarbu państwa polskiego. — Ten sam ekskomisarz Pietrow popełnił zbrodnię z art... szpiegując na rzecz ościennego państwa i starając się wywołać rozruchy.

Najpierw zeznawał oskarżony.

Do winy się nie przyznał.

Pewny siebie, z uśmiechem, wzgardliwym spojrzeniem obrzucał salę.

„Jest hrabią Piotrowem Terentjewiczem Bagrowcewem, urodzonym w Polsce, wychowanym na dworze wielkiego księcia Włodzimierza Włodzimierzowicza. Uważa się za pokrzywdzonego i niesłusznie uwięzionego. Był zawsze lojalnym dla Polski, rad jest, że dzięki przypadkowemu tu urodzeniu, mógł znaleźć przytułek w Polsce i odzyskać prawnie należące mu się majątki.

„O tej jego lojalności może świadczyć fakt, że jak tylko powziął podejrzenie, iż jego sekretarz ma skrajnie lewicowe przekonania, natychmiast go zwolnił.

„Gdzie on się teraz obraca — nie wie, bo nie obchodzili i nie obchodzą go raz usunięci pracownicy.

„Pietrowa nie znał żadnego. Może i jest jaki komisarz tego nazwiska — może to był właśnie ten, który ich męczył i więził oboje, ale mu

na myśl nie przychodziło interesować się osobą swego kata i mordercy rodziny. Ojca zamęczyli w nieludzki sposób, jemu udało się uciec z pięciu innych, dzięki strażnikowi, który dał się przekupić i nocą wypuścić ich, gdy całą partię przewieziono do innego więzienia. Zrobiono wtenczas umyślny alarm o buncie i zamordowaniu Lenina. Władcy Kremlu potracili głowy na chwilę, no i udało im się uciec pod osłoną nocy.

„Ograbili kilka napotkanych chłopów, przebrali się za nich i przez lasy i bagna puścili się do Polski.

„Papiery już przedtem udało się ojcu wysłać do Polski przez znajomych.

— A teraz posądzają mnie! — wołał patetycznie, zwracając się do pustej sali.

Po nim zeznawała Danka. Blada, drżąca, słowa, które padały z jej ust, zdawały się jej być gwoździami i młotami trumny jej życia.

„Znała go. Była jego kochanką przez dwa lata. Dostała się do Rosji jako zakładnica. Zniewolił ją gwałtem. Zna go jako zagorzałego komunistę, tępiącego każdego, kto nie był bolszewikiem...

Uśmiech zjadliwy i to ohydne oskarżenie:

„Ta pani ukradła mi razem z moim szoferem klejnoty rządowe, które miałem na przechowaniu, a kochanką mi była z własnej woli. Wolała moje pieszczoty, niż czyszczenie komórek żołnierskich. Komisarzem byłem czasowo, z musu i dla idei. Chciałem uwolnić chociaż częściowo niewinne ofiary z lochów czerezwyczajki, chciałem uratować skarb rządowy — pogardliwy ruch głową w stronę Danki — poznałem ją: i wtedy, by siebie obronić, oskarżyła mnie kłamliwie.

Takie, prawdą tchnące słowa, rzeczowe, zwiędłe, mówione głosem obrażonym, rozżalonym, miały odgłos kamieni, zabijających nadzieję szczęścia Danki.

Nawet jeżeli dowiodą mu zdrady, to echo tych oskarżeń zostanie między nią a Andrzejem, będzie tym cieniem, który zaćmi możliwość ich pogodnego współżycia...

Broniła jak mogła swych zeznań.

— Dwa lata życia wspólnego dzień po dniu, wydałoby przed nią jego tajemnicę. A te jego pijackie majaczenia o nędzy w dzieciństwie, o posadzie pisarza w gminie Bazalijskiej na Wołyniu i stąd znajomość polskiego języka, to wszystko udawanie... Klejnotów nie kradła, on jej sam je dał. Wzięła tylko te, które miała na sobie na balu. Nie zostawiła ich, bo wprost z balu uciekła do Polski.

GDY MASKA SPADA

Z kolei zaczął zeznawać Andrzej. Urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, ostatnio sekretarz poselstwa w Budapeszcie, na służbowym urlopie.

— Obecnego tu oskarżonego, ekskomisarza bolszewickiego Pietrowa, zna — bo pół roku był u niego szoferem i on to wywiózł obecną tu żonę swoją z Mińska do Polski. Wywiózł ją w sukni balowej prosto z zabawy. Klejnotów żadnych nie ukradła, wywiozła jedynie te, które miała na sobie.

Zduszony okrzyk wyrwał się z gardła Danki.

On, Andrzej, to ten szofer, jej zbawca!

Wszyscy wpatrzeni byli w Andrzeja i wsłuchani w jego zeznania.

Pietrow pobladł i zaklął. — Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał...

A Andrzej ciągnął nieporuszony.

— Obecny tu komisarz Pietrow, syn djaka z Miropola, a pisarz gminy z Bazalii, brał udział w napadzie na Teofilpol i okolicę i tam, w jednym ze dworów, napadł na moją narzeczoną, a gdy się broniła, zamordował bestialsko...

— Chciałem pomścić jej mękę i śmierć i w tym celu, wziąwszy bezpłatny urlop w ministerstwie, za wiedzą przełożonych, wyjechałem na poszukiwanie mordercy. Zjechałem całą Rosję — ale wkońcu go odnalazłem, zgodziłem się do niego za szofera, z zamiarem zabicia go. Nie zabiłem jednak, bo chciałem wyratować z jego szpon obecną żonę, którą gwałtem więził, znęcając się nad nią. — Podczas mej służby u niego kazał on zamordować obydwóch hrabiów Bagrowcewych, ojca i syna, wydobywszy z nich najokrutniejszymi mękami zeznania mu potrzebne.

— Gdy się dowiedziałem, że hrabia Bagrowcew zjawił się w mojej okolicy, przyjechałem umyślnie z Budapesztu, by się przekonać — co to za jeden. Pomimo świetnej charakteryzacji, poznałem go od razu...

Pietrow próbował jeszcze kłamać, wykręcać się, nadrabiać czelnością, powoływać się na podpisy emigrantów, stwierdzające jego tożsamość, jako hrabiego Bogrowcewa.

Odczytano mu wtedy jego własną rozmowę z Danką, podsłuchaną przez policjanta i detektywa.

Wobec tych druzgocących dowodów, przyznał się.

Owszem, podszył się pod nazwisko hrabiego Bagrowcewa, zabrał jego majątek, ale do niczego więcej się nie poczuwa.

Na tym przerwano posiedzenie i odłożono je na czas nieokreślony dla powołania dalszych świadków.

SERCE NA SZALI

Blada jak płótno stała przed Andrzejem Danka, bez kropli krwi w twarzy, tylko oczy jej płonęły...

— Więc ty wiedziałeś wszystko, poznałeś mnie od razu i dlatego nie pytałeś o nic, nie chciałeś, bym ci mówiła... — gorączkowała się.

Podniosła ręce do skroni, w których kłuło ją i dodała ciszej, jakby dziwiąc się temu:

— I ożeniłeś się, mimo to, ze mną...

Stał oparty o biurko, plecami do okna, wpatrując się w nią życzliwie:

— Właśnie dlatego ożeniłem się z tobą.

Wpiła się w niego rozszerzonymi źrenicami, z wyrazem najwyższego zdumienia. Przestała go zupełnie rozumieć.

Objął ją wpół i posadził na fotelu.

— Siądź wygodnie, porozmawiamy, wytłumaczę ci wszystko.

Usiadł obok i uwięził jej ręce w swoich.

— Kończyłem studia w Krakowie i należałem do ruchu wolnościowego. W 1915 roku wysłano mnie jako członka P.O.W. na Wołyń i tam poznałem koło Bazalii, niedaleko Teofilpola swoją narzeczoną. Miała lat siedemnaście — wychuchana, wypieszczona jedynaczka, dobra jak anioł wrażliwa, subtelna. Brała całą duszą udział w mej pracy. Ślub nasz miał się odbyć zaraz po wojnie. Gdy w jesieni 1918 roku wezwany zostałem przez komendę do Warszawy, wymogłem na jej rodzicach, że w jak najprędszym czasie wyjadą do Polski. Mieli domy w Bazalii, ma-



Na kolejach niemieckich zaprowadzono specjalne wagony o szklanych ścianach, które pozwalają podróżnym obserwować piękno krajobrazów.

ła się z żalem Danka. — Taka byłam wtedy rozżalona na ciebie.

— Pozory były przeciwko mnie. W Mińsku żyłem myślą ucieczki. Tym gorliwiej, posługiwałem się bolszewikom, tym więcej starałem się pozyskać — przypominasz sobie, jakeśmy uciekli oboje, jak cię dowiozłem do granicy, umieściłem w pewnym miejscu i u pewnych dobrych ludzi, po czym sam poszedłem swoją drogą. Resztę wiesz. Po przyjeździe do kraju zgłosiłem się na służbę. Moje studia w szkole nauk politycznych i znajomość języków obcych, szczególniej mniej używanych, jak węgierski, rumuński i bułgarski, skierowały mnie na drogę dyplomatyczną. Wysłano mnie do Budapesztu. I tu przekonałem się, że chęć wyswobodzenia ciebie z niewoli Pietrowa, była wywołała nie tylko przez pamięć Wisi, nie tylko przez współczucie Wizja twoja szła za mną wszędzie. Zacząłem wierzyć, że śmierć Wisi potrzebna była, by nas połączyć. Tęskniłem szalenie, a opierałem się temu uczuciu, bo nie byłem pewien, czy te okropne przeżycia nie zdemoralizowały cię, nie zostawiły piętna na twej duszy. To też gdy ujrzałem cię w Ciemierzewie, w pierwszej chwili wszystko zawirowało mi przed oczyma ze wzruszenia.

jątek pod Teofilpolem, klejnoty i srebra rodzinne, zakopane w piwnicy i to ich zatrzymywało. Obiecali jednak nie zwlekać. Minęła jesień 1918 r., minęła zima i wiosna 1919 roku, nie otrzymywałem od nich żadnej wiadomości. Wreszcie wkońcu lata doniesiono mi, że banda bolszewicka napadła na nich... — głos mu drgnął i ochrypł — zamordowali rodziców, a Wiśkę zamęczył przywódca.

— Zaprzysiągłem zemstę. W przebraniu chłopa poleskiego przeszedłem granicę, dotarłem do Rokitnianki, wywiedziałem się wszystkiego, nawet nazwiska zabójcy i jego stanowisko. Zdobyłem za pieniądze, a właściwie za tytoń, dokumenty osobiste po zmarłym bolszewiku. Szedłem po jego tropie przez Moskwę aż do Samary. Udawałem bolszewika, zaznajomiłem się z nimi wszędzie: na targu, w polu, na drodze, nad rzeką, przysłuchiwałem się i przypatrywałem wszystkiemu. Trwało to miesiącami.

— Zgłosiłem się do garażu rządowego na mechanika przy naprawie samochodów. Powodziło mi się nieźle; wieczorami uczęszczałem na kurs szoferski i do szkoły propagandy bolszewickiej — mając przez cały czas mord w duszy: obłędną myśl dosięgnięcia Pietrowa.

— Podczas mej włóczęgi po Rosji, na polu znalazłem trupa. Obszukałem go. Miał przy sobie papiery bolszewickie aż zza Archangielska, paszport, dowód przynależności do partii. Wsunąłem mu swoje a przywłaszczyłem jego. Od tego czasu przestałem lękać się swego cienia. Od ciągłego przebywania na powietrzu zczerniała mi cera, zgrubiały ręce, urosła broda. Nie bałem się poznania, czekałem tylko spotkania się z Pietrowem.

— Pracując w garażu, ucząc się szoferstwa, jedno miałem pragnienie — dostać się do niego za szofera, a wtedy mieć go będę w swej mocy.

— Rewolwer miałem nabity, gotowy do strzału, wolę skierowaną i napiętą do tego czynu.

— Ale ujrzałem ciebie... — tu dłonie jego zacisnęły się pieszczotliwie na rękach Danki i wyraz oczu złagodniał. — Postanowiłem cię ratować, bo widziałem, że cierpisz, że męczysz się. Za Wiśkę — tobie chciałem pomóc. Przypomniały mi się czasy średniowieczne branek tatarskich i ich losów.

Uśmiechnął się.

— Nie lubiłaś mnie, — odpychałaś każdym słowem, spojrzeniem, ruchem.

Zaczerwieniła się i usprawiedliwiała ze łzami w oczach:

— Męczyłam się strasznie i przykro mi było, że obcy podgląda moje życie i bawi się może tą moją męką. Miałam cię za bolszewika z przekonania.

— Pamiętasz tego Grünbauma, co to obiecywał ci pomoc w ucieczce? Nie o pomocy on dla ciebie myślał. Chciał cię zabrać ze sobą do Tambowa. Przejrzałem jego zamiary. Miał cię ukryć u swej rodaczki, by swoją obecnością u Pietrowa rozwiać jego podejrzenia co do swego udziału, a potem zabrać cię ze sobą. Radził ci byś nie brała ze sobą żadnych kosztowności, bo one mogłyby cię zgubić, dać Pietrowowi powód do szukania cię przez policję...

— A ja posądzałem cię wówczas o sprzyjanie Pietrowi — odezwała się z żalem Danka.

Danka pochyliła głowę i pałający policzek przytuliła do jego ręki. Milczeli przez chwilę oboje, wreszcie przerwała ciszę Danka:

— A ten dziad, coś go przejechał na szosie? Tak się wtenczas brzydko zaśmiałeś...

— Ten dziad to był szpieg, prowokator. Węszył wszędzie jak pies gończy, znosił Pietrowi donosy, — tropił byłych oficerów carskich, urzędników i obywateli. Chwalił się nieraz przede mną, że tego a tego rotmistrza gwardii zaprezentował czerezwyczajce, a tę hrabinę za włosy przywlókł do lochów G.P.U., a to znów jakiegoś wynędzniałego urzędniczynę oskarżył. Poznałem go, bom go widział wychodzącego w tym przebraniu. Szedł prawdopodobnie na żer. Umyślnie skierowałem maszynę na niego i z prawdziwą przyjemnością poczułem jak przeszła po nim. Nie czułem żadnego wyrzutu sumienia, że zgładziłem go z tego świata. Ale zresztą — po co takie wspomnienia, które mogą zakłócić nam harmonię chwili obecnej?

Nachylił się ku niej i zajrzał w oczy.

Były rozmarzone i pełne łez wzruszenia. Objął ją wpół.

— Czy mogę mieć nadzieję, że przyjdzie czas i pokochasz mnie?

Zacisnęła mu ręce na szyi.

— Ja ciebie... zawsze... — wyjąkała.

Nie pytał więcej, ale przytulił ją mocniej do piersi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

59)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Wystarczy — mruknęła zadowolona i z podniesioną głową przestąpiła próg lokalu.

— Będę się też tu mogła dowiedzieć, przy której ulicy jest pałac hrabiego Dornbrucha — pomyślała.

Wszedłszy, zastała w lokalu prócz gospodyni, jeszcze tylko jedną elegancko, ale bardzo pstro ubraną damę. Była wypudrowana, wyróżowana i mimo regularnych rysów miała w twarzy coś wyzywającego i wstrętnego.

— Więc mi nie możesz pożyczyć pieniędzy, ciotko? — zapytała trwożnie.

— Ani centa, kochana Janko! — odpowiedziała gospodyni stanowczo — jestem sama w kłopocie i chciałam się do ciebie właśnie zwrócić o pożyczkę, bo byłam pewna, że żyjesz w największym dostatku.

— Otoś zgadła — zaśmiała się Janka gorzko.

Po chwili dopiero zobaczyła gospodyni Cygankę, która weszła tak cicho i niespostrzeżenie, i zapytała ją niezbyt grzecznie, czego sobie życzy.

Cyganka zażądała skromnie szklankę kawy z bułką. Gospodyni odsunęła okienko i krzyknęła do kuchni: Porcję kawy!

Wkrótce potem ukazała się w okienku czerwona, gruba ręka, podająca żądany napój, a gospodyni położywszy bułkę na talerzyku postawiła kawę przed Lianą z bardzo wyniosłą miną.

Humor jej jednak bardzo się polepszył, skoro Ilona, sięgnąwszy do kieszeni, zapłaciła z góry należytość. Przysunęła jej nawet krzesło do stołu.

Ilona podziękowała grzecznie i siadłszy do swego śniadania, wyglądała tak zatopiona w swojej czynności, jak gdyby zupełnie nie wiedziała, co się wokoło niej dzieje.

To też gospodyni prowadziła dalej rozmowę ze swoją siostrzenicą, z początku przyciszonym głosem, który się jednak podnosił w miarę, jak się konwersacja ożywiała.

— Myślałam, że jak się ma tak bogatego wielbiciela, jak ty, — rzekła gospodyni — to już na niczym nie zbywa!

— Co mi z tego, że sam siedzi po uszy w złocie? — skarżyła się Janka — kiedy taki skąpy, że trudno coś od niego wydostać.

— To puść go kantem i poszukaj sobie szczodrzejszego przyjaciela — doradziła doświadczona ciotka.

Janka wzruszyła ramionami.

— To się tak łatwo mówi! — mruknęła.

— Mnie się ta sprawa nigdy nie podobała — mówiła ciotka dalej — jak taka młoda i ładna dziewczyna, jak ty masz stosunek z wielkim i bogatym panem, to przynajmniej i jej rodzina z tego coś mieć powinna. A czyś ty mi kiedy dała choć centa? Nie wiem nawet, jak się ten twój kochanek nazywa. Czy to ładnie tak się kryć przed krewnymi? Myślałam już, że to może jaki żonaty człowiek. Przyznaj się czy nie jest to baron Sturmfeder?

— Chciałabym, aby on był — zawołała Janka — byłby z pewnością szczodrzejszy.

Na dźwięk tego nazwiska ocknęła się Ilona i zaczęła się uważniej przysłuchiwać rozmowie.

— Jak się Mali powiodło skokietować sobie barona, to i ty to potrafisz — rzekła godna ciotka zachęcająco — nie trzeba przedmiotów swoich niedoceniać. Jest też twoim obowiązkiem pomagać biednym krewnym, kochana Janko! Ot, patrz na mnie — dodał, ocierając łzy brudną histeczkę — jestem biedną wdową i każdy kto tylko może, wyzyskuje mnie w interesie. O, gdyby tak mój nieboszczyk jeszcze żył!...

— Niech on sobie tam spokojnie odpoczywa! — rzekła Janka pogardliwie — jak długo żył, toś się ciągle na niego skarżyła, a teraz to go wychwalasz i opłakujesz! Dawniej to był pijakiem, nicponiem i graczem.

— Teraz dopiero widzę, co w nim miała! — przerwała jej gospodyni. — Ale radzę ci raz jeszcze, kochana Janko, zerwij z tym twoim sknerą i wystaraj się o hojniejszego kochanka. Zobaczysz, że dobrze ci radzę! Jak młodych swoich lat nie wyzyskasz, to na starość zejdziesz na psy; żebrać będziesz!

— Więc naprawdę nic mi nie dasz? — spytała janka z westchnieniem.

— Wierz mi, że nie mam — uniewinniała się ciotka — nie mam ani centa! Ty pewnie więcej możesz ode mnie.

— Doprawdy, że nie mam, ciotko! — zawołała Janka — inaczej nie byłabym tak rano do ciebie przybiegła! Wczoraj miałam jeszcze nadzieję, że od mego starego coś wyduszę, ale nie udało mi się. Ty jesteś moją ostatnią deską ratunku! Jak mnie nie poratujesz, to będę się musiała udać do Mali. Byłoby mi to bardzo przykro, bo ta dobra dziewczyna dała mi już więcej, niż jest w stanie, ale cóż robić?

— Gdzie jest teraz Mala? — spytała gospodyni ciekawie.

— Jest garderobianą u baronowej Sturmfeder! — odpowiedziała Janka spokojnie.

— Żartujesz, — zawołała ciotka niedowierzająco. — Nie rób ze mnie durnia!

— Mówię prawdę — zapewniała ją Janka.

Ton jej mowy tak był poważny, że ciotka nie mogła dłużej wątpić o prawdzie jej słów.

— Jezus Maria! — zawołała śmiejąc się i klaszcząc w ręce — a to dopiero! No, niech i tak będzie! Jak się pani baronowa zgadza mieć Malę pod jednym dachem z baronem, to i ja nie mam nic przeciwko temu!

— Bądźcie zdrowi, ciotko! — rzekła Janka, podnosząc się z krzesła. — Idę prosto do Mali. Baronowa pewnie jeszcze będzie spała.

— Idź z Bogiem, Janko! — odpowiedziała wdowa zasmucona — a nie gniewaj się, żem ci nie mogła pomóc.

— Ależ nie! — zapewniła ją Janka i, spuściwszy czerwony welon, wyszła pośpiesznie.

Po chwili pożegnała się też Ilona i wybiegła szybko na ulicę.

W pewnym oddaleniu zobaczyła jeszcze jasny żakiet pięknej Janki i podążyła w

ślad za nią przez najróżniejsze ulice i uliczki. Wreszcie dostały się obie po dość długiej wędrówce do najelegantszej dzielnicy Wiednia.

Ilona, która pędziła tuż za Janką, zatrzymała się też za jej przykładem przed okazałym placem.

Janka pociągnęła nieśmiało za dzwonek i zaczęła żywo rozmawiać z portierem, po czym szybko wsunęła się do wnętrza zamku.

Czy wejść odważnie za nią — pomyślała Ilona. — Nie, portier by mnie zapewnie przepuścił, a nie mam pieniędzy, aby go przekupić! Trzeba będzie poczekać trochę przed pałacem, dopóki baron nie wyjdzie. Wtedy pójdę za nim i powiem mu, co się stało i co myślę uczynić.

Upływa godzina za godziną i Ilonie już się zaczęło przykrzyć.

Z uderzeniem 12-tej godziny zajechał przed pałac elegancki powóz i stanął przed bramą. Na koźle siedział woźnica i lokaj.

— Czy to baron pojedzie? — zapytał furmana.

— Niestety — odpowiedział zapytany — będzie trzeba znów w nieskończoność czekać.

— Nie zważając ani na nas, ani na konie — mruknął znów woźnica — wczoraj czekaliśmy przeszło dwie godziny. Nawet nie można było już koni dłużej utrzymać!



Dziewczęta japońskie modlą się przed mauzoleum cesarza Meidżi, wielkiego reformatora Japonii.

Ilona zmarszczyła brwi.

Jeżeli baron wyjdzie i wsiądzie szybko do powozu, nie będę mogła z nim pomówić — pomyślała. — Będę go więc musiała zatrzymać przy drzwiach pałacu.

Tak rozmyślając doszła do bramy i stanęła tuż obok niej.

— Zdaje mi się, że znam tę Cygankę — rzekł teraz lokaj, patrząc bystro na Ilonę — czy ty nie jesteś przypadkiem z Königswalden?

— Tak jest, szanowny panie — odpowiedziała Ilona z udaną pokorą.

— Cóż ty tu robisz we Wiedniu? — zapytał znów służący.

— Mam prośbę do pana barona — rzekła Cyganka.

— W takim razie musisz się pośpieszyć ze swoją prośbą zaraz, jak baron wyjdzie — radził jej lokaj — bo jak go teraz nie przyłapiesz, to możesz tu do samej północy czekać. Pan baron często tak późno wraca!

Wtem wyszedł baron z pałacu.

Ilona przyskoczyła do niego i rzekła głośno:

— Jaśnie panie baronie! Przychodzę z wielką prośbą od Sylwii Herbert; chce ona bowiem wyjechać do Ameryki, ale nie ma pieniędzy na podróż.

Ojciec jej był długoletnim, wiernym sługą hrabiów Wildensteinów! Może jaśnie pan baron to uwzględni i da jej łaskawie tyle, ile jej na drogę potrzeba!

Egon zbladł i spojrzał przerażony na Cygankę.

— Niech pan baron wysłucha łaskawie tej prośby — błagała Ilona — przyniesie to panu baronowi z pewnością szczęście.

— Sądzę, że to bezczelność ze strony panny Herbert, nagabywać mnie jeszcze takimi prośbami — oburzył się baron. Żal mi jej jednak, i możebym coś dla niej zrobił, gdybym dokładnie wiedział o jej planach. Chodź ze mną do zamku i opowiedz mi tę rzecz szczegółowo.

To rzekłszy, zawrócił do pałacu, a Ilona poszła triumfująco za nim. Otworzywszy drzwi od małego buduaru, skinął na Ilonę i mruknął:

— Będzie to jeszcze najmniej kompromitujące, jak ją tu przyjmę!

Mów prędko, co mi masz do powiedzenia — rzekł sucho — ale śpiesz się, bo nie mam czasu.

— Panie baronie! — szepnęła Cyganka— Sylwia chce odszukać Mayera w Ameryce i nakłonić go do świadczenia przeciwko panu baronowi!

— Kłamiesz! — zawołał wreszcie blady i przerażony.

Baron zaklął siarczyście.

— Na Wisznu, że mówię prawdę! — przysięgła się Cyganka.

— Ba — mruknął baron po namyśle — jeżeli nawet jest tak, jak ty mówisz, to nie ma wielkiego niebezpieczeństwa. Ameryka jest taka duża, że Sylwia może szukać za Mayerem do końca swego życia i nie znaleźć go przecież!

— Jestem pewna, że ona zna jego adres — odpowiedziała Ilona. — Jest ona przeciwniczką, której lekceważyć nie można, panie paronie! Niech się pan baron jednak nie obawia — dodała, widząc jego przestrach — ja się już o to postaram, aby ona panu baronowi nie zaszkodziła, lecz raczej sama w nieszczęście wpadła!

Egon padł bezsilny na krzesło i jęknął:

— Powienienem się był z tą dziewczyną ożenić, to był jedyny mój ratunek!

— Ale że pan baron tego nie uczynił, więc musimy znaleźć inne wyjście — odparła Ilona i pochiliwszy się nad baronem, zaczęła mu coś szeptać do ucha.

— Dziewczyno, ty jesteś szatanem w postaci ludzkiej — krzyknął baron, podskoczywszy z krzesła.

Cyganka teraz wzruszyła pogardliwie ramionami i rzekła:

— Niech mnie pan nazywa, jak się panu żywnie podoba — rzekła sucho — tylko niech pan daje pieniądze, bo bez nich nie mogę swych dobrze obmyślonych planów wykonać!

— Czekaj — odpowiedział jej baron ochrypłym głosem i wybiegł śpiesznie z pokoju. Niebawem wrócił i wsunął w rękę paczkę banknotów.

Nagle wzbudziła się w nim nieufność. Złapawszy Ilonę za barki, krzyknął:

— Biada ci jednak, gdy mnie oszukujesz.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli skłamałam! — zaklina się Cyganka. — Panie! przecież ja przysięgam Sylwii zemstę i dotrzymam. Ja jej śmiertelnie nienawidzę!

— Dobrze! — odpowiedział baron ponuro — ale idź już! Nie chcę, aby cię tu widziano.

Wskazał jej rozkazująco drzwi!

Ilona ukłoniła się głęboko i wybiegła, a oczy jej zabłysły złowrogo.

ROZDZIAŁ CCXXVI.

Zły humor Felderna zwiększał się z każdym dniem. Intryga jego co do księcia Petöfiego, którego chciał zawikłać w stosunek z Gretą, nie udała się wcale. Przeczuwał to, mimo, że baletnica nie przyznała mu się do zupełnego fiaska.

Petöfy zaś bywał teraz u Hortensji częściej jeszcze niż dawniej. Zazdrość pożerała asesora, bo kochał on pupilkę swą głęboką miłością dojrzałego człowieka. Przemyśliwał bezustannie nad tym, jakby zaradzić wzrastającej przyjaźni między nią, a pięknym księciem, nie znalazł jednak żadnego wyjścia.

Pewnego dnia, przerzucając gazetę, spostrzegł w niej artykuł, który go tak zainteresował, że przeczytał go kilka razy i ciągle na nowo wracał do niego. Było to krótkie sprawozdanie z jakiegoś północno-niemieckiego miasta:

W mieście naszym zdarzył się niedawno okropny wypadek, który niestety dotychczas nie jest wyjaśniony. Do hotelu pod Białym Łabędziem zajechał przed kilku dniami młody, może 26-letni mężczyzna. Był dobrze ubrany i kazał sobie dać mały pokój; żył bardzo skromnie i płacił codziennie wieczorem swój rachunek. Zapisał się do księgi obcych jako inżynier Schmidt, ale to widocznie nie było jego właściwe imię, bo bielizna jego znaczona była literą W. Robił codziennie długie wycieczki, z których wracał bardzo zmęczony i przygnębiony, ale nigdy o celu tych wędrówek nie wspominał. Był w ogóle bardzo małomówny i nietowarzyski. Nie obcował z nikim i mówił tylko najpotrzebniejsze z właścicielem i służbą hotelową. Pewnego wieczora nie wrócił tak zwany pan Schmidt ze swojej wycieczki. Nie można było przypuszczać, aby mu chodziło o niezapłacenie tej małej sumki, którą w hotelu był winien, gdyż rzeczy, które tu zostawił, dużo więcej były warte. Trzeciego dnia dopiero odkryli rębacze w najgęściejszej części lasu okropnie pokaleczone martwe ciało młodego, dobrze ubranego mężczyzny, którego głowa prawie odcięta była od tułowia, widocznie bardzo ostrym narzędziem. Właściciel i służba hotelowa poznali w zamordowanym zaginionego Schmidta. Dziwne było to, że trup nie był obrabowany, bo znaleziono przy nim pełną portmonetkę. Nie wiadomo więc, czy to jest mord, czy samobójstwo! Broni żadnej w pobliżu zamordowanego nie znaleziono, ale możliwe, że jacyś przechodnie ją sprzątnęli. Cięcie jest tego rodzaju, że mogło być tak samo za-

dane przez obcą rękę, jak przez nieboszczyka samego. Z pozycji zdrętwiałego ciała, ani z położenia rąk nie można było wnioskować nic konkretnego. Między pozostałymi rzeczami nie znaleziono żadnych papierów, któreby dawały bliższe wyjaśnienia co do osoby mniemanego inżyniera Schmidta. Wszystkie publiczne ogłoszenia, wzywające ewentualnych krewnych lub znajomych zamordowanego do zgłoszenia się, pozostały na razie bezowocne. Niniejszym prosi się każdego, któryby był w stanie dać jakiekolwiek wyjaśnienie co do osoby zmarłego, lub co do tajemniczego mordu, aby ustne lub pisemne swe zeznanie złożył u niżej podpisanego prokuratora.

Zmarły był mniej więcej w 26-tym roku życia, słusznego wzrostu i dobrze zbudowany. Miał regularne rysy, czarne włosy i oczy. Żadnych szczególnych znamion. Nosił ciemne eleganckie ubranie, brązowy płaszcz i mały filcowy kapelusz tego samego koloru. Pozostałe rzeczy składają się z jednego ciemno-szarego ubrania, z bardzo eleganckiej bielizny, znaczonej literą W. i z kilku książek, głównie gramatyki i metod nauczania się języka angielskiego. Są one wszystkie bez podpisu.

Artykuł kończył się powtórnym wezwaniem prokuratora do tych, którzy coś o tej sprawie wiedzieli. Feldern dwa razy już go przeczytał i nie mógł się od niego oderwać

— To on — mruknął wreszcie — wszystko w opisie się zgadza. A gdyby to nie był on, to może przynajmniej za niego uchodzić. Los mi sprzyja. Musiałbym być głupcem, abym ze sposobności tej nie skorzystał.

Na twarzy jego malowała się stanowczość. Miłość do Hortensji zmieniła zupełnie tego człowieka i wypełniała wszystkie jego myśli i uczucia.

A jednak, nie była to ta czysta i święta miłość, która się łączy z zaparciem się swego — ja — i z ofiarnością. Było w niej bardzo dużo zmysłowości i egoizmu. Nie pomyślał on ani na chwilę, że wiadomością tą sprawi Hortensji ból; czuł tylko, że go to zbliża do upragnionego celu i to mu wystarczało.

Ułożywszy na prędce plan, ubrał się asesor i pojechał dorożką wprost do mieszkania swej pupilki.

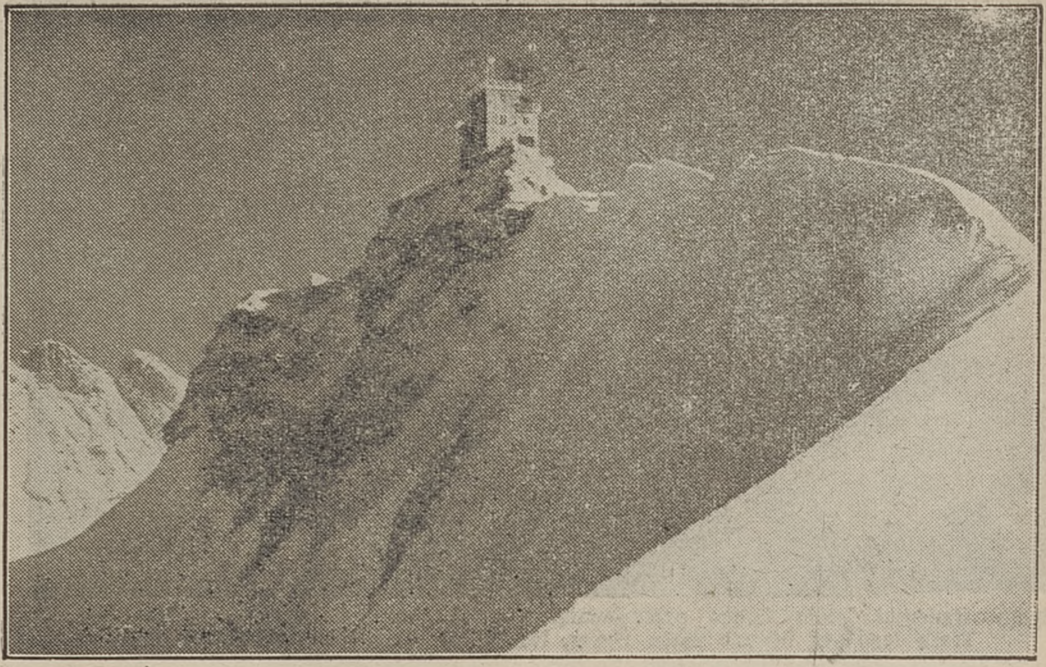
Zastał ją w salonie przy fortepianie, wygrywającą jakieś sentymentalne melodie. Gdy jej zameldowano opiekuna, wybiegła uradowana naprzeciw. Asesor ucałował ją jak zwykle w rękę, przy czym uważał, aby tego nie uczynić zbyt namiętnie.

— Bardzo pięknie żeś pan raczył do mnie zajrzeć — przywitała go Hortensja wesoło, lecz widząc poważny jego nastrój i prawie grobową minę, zapytała przestraszona:

— Co się panu stało, panie Feldern? Wygląda pan taki zasmucony? Chyba nic poważnego?

— Kochana Hortensjo! — zaczął asesor z miną, która miała wyrażać ojcowską życzliwość i przyjacielskie współczucie — mam to sobie za obowiązek być wobec pani szczerym, tym bardziej, że wiem jaką moc ducha pani posiada.

— Na miłość Boską — przerwała mu Hortensja blada z przestrachu, patrząc na niego osłupiałym wzrokiem — pewno pan ma jakieś wiadomości od Leona! Zaklinam pana, niech pan niczego nie ukrywa!



Na najwyższym szczycie Alp, Jungfrau zbudowano obserwatorium meteorologiczne.

— Jak ona kocha tego nikczemnika — pomyślał Feldern, wściekając się ze złości — wszystkie jej myśli do niego należą! A jak zaraz przeczuła, że to o niego chodzi!

— Droga Hortensjo! — ciągnął asesor dalej. — niech się pani uspokoi! Nie mam żadnych pewnych wiadomości o mężu pani. Przeczytałem tylko w dzisiejszej gazecie artykuł, który mnie wprowadził na myśl, że to może być mowa o panu Waldau. Niech mnie pani zechce zrozumieć, ja mówię, „może!"

— Daj mi go pan — szepnęła Hortensja — chcę sama przeczytać!

— Na co to pani! — sprzeciwiał się asesor — może ja się omyliłem! Na co się pani ma naprzód martwić i rozpaczać! Czy wie pani mniej więcej, gdzie się mąż pani teraz obraca?

— Nie, nie mam pojęcia! — wyszeptała młoda kobieta ze łzami w oczach.

— A czy to możliwe, aby pan Waldau przebywał teraz w północnych Niemczech? — pytał Feldern dalej.

— Jest to nawet bardzo prawdopodobne — odpowiedziała Hortensja z gorączkowym niepokojem — bo opuścił mnie w Berlinie i wiem, że nie miał środków do dalszej podróży.

— W tym wypadku nie mam prawa ukrywać pani to, o czym się pani w końcu dowiedzieć musi — rzekł asesor z namaszczeniem. — Niech się pani przygotuje na najgorsze. Hortensjo, tylko niech pani przedwcześnie nie rozpacza, bo to mimo wszystkich zgadzających się pozorów, może być jeszcze pomyłką. Spodziewam się, że pani przeczyta ten artykuł z potrzebnym w tym wypadku spokojem, bo wiele innych młodych ludzi, może tak samo wyglądać i nawet takie same mieć ubranie. Niech się więc pani uspokoi!

To mówiąc, podał młodej kobiecie gazetę, którą ona wzięła drżącymi rękami. Ledwo jednak przebiegła artykuł oczyma, wydała rozdzierający serce krzyk i padła bez przytomności na fotel.

Widok ten przeraził Felderna.

Jak ja mogłem być takim barbarzyńcą i sprawić jej taki ból! jęknął zrozpaczony.

Nie odważył się nawet przystąpić do niej, lecz pociągnął za dzwonek tak silnie, że stara służąca i Luigo przybiegli razem wielce przestraszeni. Kucharka wzięła panią na ręce i podźwigała ją do sypialni, a Luigo pobiegł po wodę. Rozpacz służby okazywała jasno przywiązanie i miłość jaką czuli dla Hortensji.

Feldern został w salonie sam, przestraszony i zirytowany.

Po kilku minutach, które mu się wydawały wiekiem, zjawił się Luigo i wezwał asesora do buduaru signory.

Hortensja leżała na otomanie śmiertelnie blada, z wyrazem najgłębszego bólu na pięknych rysach. Gdy ją Feldern zobaczył taką nieszczęśliwą, chciał przeprosić za ból, który jej sprawił, ale błagający ruch jej ręki i proszący jej wzrok nakazały mu milczenie.

— Panie Feldern — rzekła słabym, bezdźwięcznym głosem — przypuszczenie pana było słuszne: owym nieszczęśliwym zamordowanym jest pewnie mój mąż. Chcę tam natychmiast pojechać, nie ma dla mnie nic straszniejszego, jak ta dręcząca niepewność!

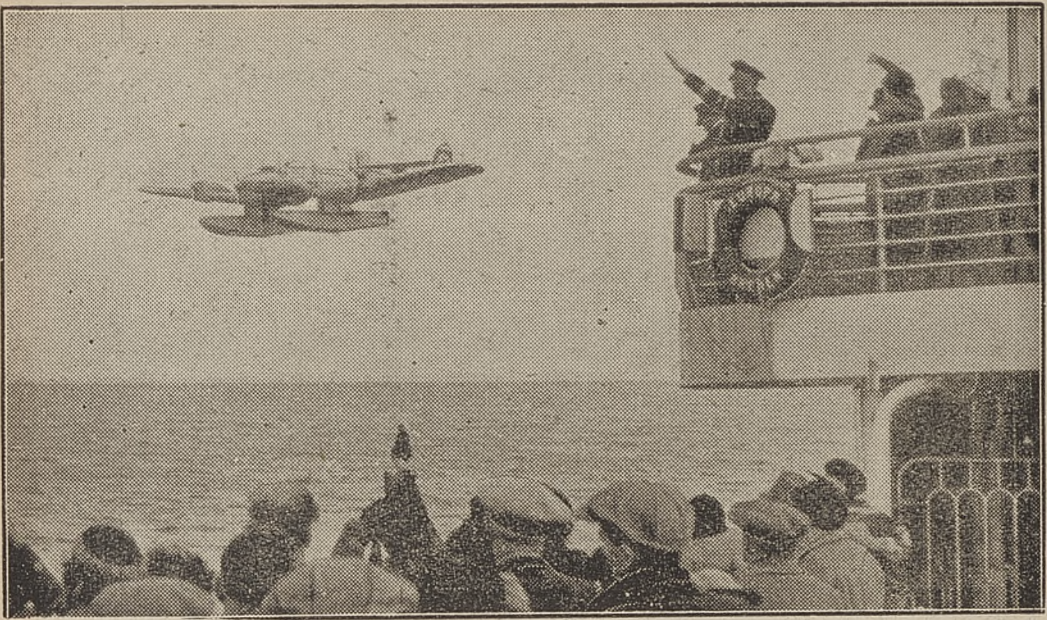
Zimne dreszcze przebiegały po całym jej ciele.

W bezgranicznej rozpaczy ujęła głowę w obie ręce, twarz jej wyrażała głęboką beznadziejność.

Widok Hortensji zabolał asesora. Nie żałował jednak tego co zrobił, bo myślał, że to będzie początkiem jego szczęścia.

— Nigdy na to nie pozwolę — rzekł asesor stanowczo — aby pani sama do Havelberg pojechała i, zdaje mi się, że jako opiekun i przyjaciel mam wszelkie prawo do tego. Natomiast pojadę tam sam i przysięgam pani, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby sprawę sumiennie zbadać i nie brać na siebie nic, co by przechodziło słabe siły pani!

— Dziękuję bardzo, kochany przyjacielu — odpowiedziała Hortensja łagodnie, ale stanowczo — ale w żaden sposób nie mogę przyjąć szlachetnej ofiarności pana. Nie mówię już o tym, że jest to moim najświętszym obowiązkiem, ale serce moje nigdy nie znalazłoby spokoju, gdybym się naocznie o właściwym stanie rzeczy nie przekonała i osobiście dochodzeń w tej sprawie nie zarządziła!



Słynny francuski lotnik Codos przedsięwziął nowy lot etapowy do Ameryki Południowej. Trasa tego lotu biegnie przez Dakar, Natal, Rio de Jeneiro do Buenos Aires.

Feldern użył całej potęgi swej wymowy, aby Hortensję od tego zamiaru odwieźć, ale wszystkie jego argumenty odbiły się o niewzruszoną stanowczość pupilki.

Ostatecznie zadowolony był, że się Hortensja zgodziła na jego towarzystwo w podróży, było to wszystko, co u niej mógł wyprosić. Wrócił do domu niezadowolony i w niezgodzie z sobą.

Hortensję zostawił w najgłębszej żałobie i w niepocieszonym smutku.

Asesor postarał się na prędce o urlop i następnego dnia już wyjechał z Hortensją i nieodstępnym Luigim, który też z nimi wybrał się w tę podróż, mimo że Feldern był przeciwny.

Jechali, milcząc prawie przez cały czas podróży. Hortensja wstrzymywała się wszelką siłą od głośnych wybuchów rozpaczy, zaś Feldern nie śmiał przerywać jej zadumy.

Stosownie do życzenia biednej kobiety, nie zatrzymywali się nigdzie po drodze, a zdążywszy do Havelberg, małej mieściny marchii brandenburgskiej, udali się wprost z dworca do urzędu policyjnego.

Feldern wyjaśnił urzędnikowi krótko o co chodzi.

— Ta pani — rzekł — życzy sobie zobaczyć wszystkie rzeczy pozostałe po zamordowanym i bardzo możliwe, że będzie mogła dać wyjaśnienie co do jego osoby.

Urzędnik uczynił zadość ich życzeniu i pokazał najpierw fotografię trupa, na której widok Hortensja krzyknęła z przerażenia.

Zebrała wszystkie fizyczne i moralne siły, aby się temu portretowi móc dokładniej przypatrzeć, ale twarz tak szalenie była skrzywiona, że niemożliwym było odkryć jakiekolwiek podobieństwo.

Nie przyczyniło się to do jej uspokojenia. Dopiero, gdy zobaczyła bieliznę, ubranie i resztę pozostałych rzeczy, z których jej się każde z osobna tak obcym wydawało, zaświtał w sercu jej promyk nadziei.

Ale asesor stłumił tę odrobinę nadziei zaraz pytaniem:

— Czy pani znała dokładnie całą garderobę i inne rzeczy, które pan Waldau zabrał w podróż?

— Dlaczegobym nie miała znać? — odparła Hortensja.

Bo pan Waldau musiał pewno uzupełnić swoją garderobę, wybierając się w podróż — perswadował jej Feldern — i wcale nie jest pewne, czy te rzeczy nie należały naprawdę do niego. Pewne jest, że miara i wielkość tych rzeczy jest jakby zupełnie na niego.

Otucha Hortensji znikła. Z ciężkim sercem musiała przyznać słuszność argumentów Felderna, zaczęła z pośpiechem przeszukiwać pozostałe książki, czy nie znajdzie w nich jakichś zapisków i uwag skreślonych własnorecznie, ale nadaremnie!

Nie była pewna, czy Leon władał językiem angielskim, ale nawet i w przeciwnym wypadku książki mogły być jego. Mógł się przecież z nich uczyć!

Gdy Hortensja opuszczała urząd policyjny, nie wiedziała nic więcej niż przedtem, a niepokój jej raczej jeszcze się wzmagał.

Nie zważając na prośby Felderna o wypoczynek, udała się wprost stąd do hotelu „Pod Białym Łabędziem", aby się od właściciela i służby hotelowej dowiedzieć bliższych szczegółów o zmarłym, który przez pewien czas przebywał pod ich dachem.

Niestety, wiadomości zasięgnięte tu, nie były także pocieszające.

Opisali oni tam zamordowanego jako ponurego, małomównego człowieka, który odzywał się tylko wtedy do swego otoczenia, jak coś potrzebował.

Był on jednak mimo swej rezerwy zawsze bardzo ugrzeczniony, słowem, miał być gentlemanem w całym znaczeniu tego wyrazu.

Co do powierzchowności, każdy inaczej go opisywał, ale wszyscy zgadzali się na to, że tak zwany pan Schmidt, był bardzo okazałym brunetem o pięknych i regularnych rysach.

Wiadomości zasięgnięte w hotelu utwierdziły Hortensję w smutnej pewności, że to był Leon. Nie mogąc się dłużej opanować, wybuchła biedna kobieta konwulsyjnym płaczem. Po chwili jednak zrobiło się jej lżej na sercu.

Jest zawsze jeszcze możliwe, że biedny zamordowany jest jakimś obcym człowiekiem, a Leon żyje! — pomyślała, pocieszając się tą myślą.

Lecz Feldern, któremu zwierzyła się z tej nadziei pokiwał tylko niedowierzająco głową i kazał grób zmarłego stroić kwiatami. Radził też Hortensji, aby mu postawiła pomnik i starał się wszelkimi sposobami upewnić młodą kobietę w przekonaniu, że została wdową.

Nie udało mu się to zupełnie. Hortensja zamówiła wprawdzie gustowny pomnik, ale jedynym napisem jego miała być litera „W", którą znaczona była bielizna nieboszczyka i data jego śmierci.

— Spełniam tem obowiązek ogólnej miłości bliźniego — rzekła do Felderna — ale dopóki nie mam niezbitych dowodów, nie wierzę w śmierć mego męża i nie opłakuję go.

Asesor bardzo był niezadowolony z wyników podróży i nalegał, aby opuścili Havelberg, a Hortensja zgodziła się na to, widząc, że niczego więcej się tu nie dowie.

Wróciła do Wiednia smutna i przygnębiona, ale nie tak złamana jakby być musiała, mając przekonanie o śmierci Leona. Miewała ona wprawdzie chwile, w których męża swego opłakiwała jako nieboszczyka, ale po każdym takim napadzie rozpaczy, wracała jej nadzieja, że Leon żyje i do niej wróci.

Natychmiast po swoim powrocie odszukał asesor księcia Petöffiego.

— Książę — rzekł Feldern po krótkim przywitaniu i kilku wstępnych słowach — wprawdzie książę już raz odmówił mu prośby, tyczącej mojej pupilki, przychodzę jednak raz jeszcze w tej samej sprawie. Niech to księciu panu będzie dowodem, jak bardzo mi na tym zależy, aby reputację pani Waldau uchronić od najlżejszego cienia.

Jak długo mąż jej żył, mógł stosunek księcia pana do niej uchodzić za przyjacielski. Ale rzecz ma się teraz inaczej. Pan Waldau nie żyje. Przyniosłem tu gazetę, donoszącą o jego smutnym zgonie. Byliśmy sami w Havelberg i przekonaliśmy się, że wszystkie szczegóły się zgadzają. Hortensja niedowierza jeszcze swemu nieszczęściu. Faktem jednak jest, że jest teraz wdową. Jako człowiek honoru uzna książę, że na razie dalsze stosunki z Hortensją możliwe są tylko pod jednym warunkiem, a mianowicie, jeśli książę ma szczery zamiar ożenienia się z nią bez względu na jej pochodzenie.

Feldern tak się zapalił mówiąc, że nie spostrzegł nawet promieniejącej twarzy młodego księcia. Ledwie jednak skończył, przyskoczył Petöffy do niego i ujął go za obie ręce.

— Kochany panie Feldern — zawołał, nieposiadając się z radości — uczyniłeś mnie pan najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! Było to moim najgorętszym pragnieniem mieć Hortensję za żonę! Będzie ona najcenniejszym klejnotem w mojej książęcej koronie. Dziękuję panu raz jeszcze za tę przyjacielską usługę.

Niespodziana ta odpowiedź tak zaskoczyła asesora, że stanął, jak wryty. Pożegnawszy się śpiesznie, wrócił do siebie zły i wściekły.

Po raz drugi machinacje jego się nie udały. Co więcej, zaszkodził tylko swej sprawie tym, że wyraził wobec księcia taką pewność co do śmierci Waldaua.

Ze zgrzytaniem zębów musiał sobie troskliwy opiekun pani Waldau w duchu przyznać, że nie posiada zdolności do kie-

Ciąg dalszy na stronie 977.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PAN MRÓZ...

Gdy mróz — artysta zimy —
zawita do nas porankiem,
śnieg zdmuchnie z niskich świerków,
przystanie na małym krużganku...
Białą swą czapę zamarzłą
zdejmie — jak gdyby z ukłonem...
grzechctką zimowych sopli
tuż nad okienkiem zadzwoni...
Wąsiska oszronione
otrze rękawem grubiańsko...
żeby się nazywało,
że bywał na dworach pańskich...
Chuchnie... dmuchnie z swej siły
i pędzlem swym wymaluje...
kwiaty przedziwne na oknach...
z niczego je wyczaruje...
Paprocie wachlarzowate...
świerki i wątłe sosny...
aż podziw bierze człowieka,
z czego... — i na czym rosną...
A kiedy ciekawe słońce
wtargnie zniehacka — jak złodziej...
kwiaty zapłaczą łzami,
a z nimi... pan mróz czarodziej...

Józef Baranowski.

ZAMIESZCZAM TWÓJ APEL

„Psyche“. Nie wiem, Dziecko, o co Ci chodzi, dlaczego mam popierać Twą prośbę do „Erosa“? Nie lubię czynić niczego na ślepo, więc też specjalnie nie przemawiam do niego — starczy, że zamieszczę Twój apel:

„Halo! „Erosie“ — „Psyche“ prosi Cię o kilka słów. A może ja mogłabym do Ciebie napisać słów parę wytłumaczenia? Czy pozwolisz? Tyle się zmieniło! Nie zapomniałam. Do B. nie mogłam tego roku pojechać. Zmieniłam miejsce pobytu. Daj znak do M. T.

„Hord“ — moc pozdrowień! Może napiszesz do mnie liścik?

Może ktoś z „Krainy“ zechce napisać do mnie miły poważny list? Pozdrawiam wszystkich!

ZAŁATWIŁAM

„Echo“ przypominas ię Wam, Moi Mili, po wcale długim milczeniu i prosi o bardzo, bardzo dużo listów! Jeżeli chodzi o mnie, to bardzo radzę nie pomijać jej prośby milczeniem. Jest inteligentna, miła i wesoła, a w dodatku pisze wyraźnie i ładnie — zaś z własnego doświadczenia wiem, jak cenny jest listowny rozmówca, który oprócz wszystkich innych zalet ma i tę jeszcze, że pisze czytelnie.

No, pozdrawiam Przemiłe „Echo“ i życzę obszernej i wartościowej korespondencji!

Sprawę administracyjną załatwiłam...

ŻAŁUJĘ!

P. K. Ł. — Gębice. Żałuję ogromnie, że nie zamienił Pan jednak ze mną, owych dwóch słów. Gdybym była wówczas wiedziała! Przecież mógł Pan pomówić, a straty w zwiedzeniu naszych zakładów nie byłoby, bo przecież sama byłabym mogła to wszystko Panu pokazać.

Przykro mi, że nie zwróciłam wówczas większej uwagi na owego wysokiego Pana, tak sympatycznie pytającego o p. Zofię. Widzi Pan, nas tak często odwiedzają mili Sympatycy i zjeżdżają całe wycieczki, że nie wbijamy sobie specjalnie w pamięć tej, czy innej osoby. Owszem, pozostaje w pamięci, ale, że tak powiem, miłe wrażenie ogólne.

Co innego, gdy odwiedzającymi są „Krainiacy“ — o! wówczas wgarniam ich sobie nie tylko do pamięci, ale nawet do serca, zwłaszcza, że każde z nich ma tam już swoją osobistą pozycję.

Szkoda! Podobała mi się powieść Pana i z przyjemnością powracam do niej myślą, a tym chętniej byłabym pogawędziła z autorem. I wówczas dopiero miałyby rację zaistnienia słowa o „szczęśliwcach“, zaś ja mogłabym się zrewanżować wyrażeniem „przyjemności“. A tak pozostaję dłużną — a wolałabym nie być. Staram się zawsze o uzgodnienie, zrównanie rachunków. No, nie tracę nadziei, że jeszcze Pan przyjedzie kiedy do nas — czy tak? I na pewno przyśle Pan nową powieść do przeglądnięcia i ewent. wydrukowania.

Wierszyk, jakkolwiek nie jest meisterstykiem, to jednak jest ogromnie miły i chętnie go zamieszczam i dlatego jeszcze, że wiem iż chodzi o przekazanie i podkreślenie nie tyle formy poetyckiej, ile treści.

W swoim i Wujka Janusza imieniu dziękuję za miłe nam pozdrowienia i odwzajemniam się serdecznie i szczerze.

NIE SMUĆ SIĘ...

„Nelli“ — poświęcam.

O, nie smuć się Dziewczynko,
Choć w sercu czujesz żal.
Po cóż myśleć z udręką
O tym, co poszło w dal?
Koleje życia zmienne,
Wszak sama o tym wiesz! —
Słonko świeci promienne,
A potem — chmury... deszcz.
Radość w smutek się zmienia,
W ból, gorycz, masę trosk...
Lecz dobry Bóg odmienia
Znowu człowieczy los...
Więc nie smuć się Dziewczyno,
Przeminą chmurne dni —
Znów jasne dni nastaną,
Słonko zaświeci Ci.
Podnieść do góry główkę,
Twe szczęście wróci się.
Przyjmij te moje słówka
I znów... uśmiechnij się.

Kazimierz Łaganowski.



„Wesoła Tusia spod Grudziądza“ nie boi się późno-jesiennych chłodów, ni wilgoci — swobodnie zarzuca dubeltówkę na ramię, przywołuje swego zmyślnego polowczyka i razem wyruszają na szczęśliwe łowy.

JEDYNA WADA

„Bajka“. Przejęłam się Twoim smutkiem i jedyne wyjście, które widzę, postaram Ci się wskazać.

Weź proszę pod uwagę wszystkie „za“ i „przeciw“ i spojrzyj w skupieniu w głąb siebie. Jeżeli dojdziesz do wniosku, że w żaden sposób żyć bez ukochanej osoby nie możesz, zdobądź się na jeden duży wysiłek. Mianowicie zakreśl sobie czas — powiedzmy 3—4 miesięcy — w którym nie będziecie się widywali, ani nawet pisywali. Tęsknotę i ból staraj się przytłumić pracą i myśl o końcu tej uczuciowej kwarantanny, jakby nigdy przyjść nie miał — t. zn. jakbyś nigdy już nie miała powrócić do twego narzeczonego. Jeżeli po oznaczonym terminie Ty i on stwierdzicie, że nie tylko miłość Wasza nie przytłumiła się, nie rozwiała, ale jeszcze wzrosła, spotężniała — wówczas czyń wszystko, aby przekonać rodziców i uzyskać ich zgodę na ślub.

Sądzę, że jak wszystkim rodzicom, i Twoim przede wszystkim zależeć będzie na szczęściu ich dziecka i nie zechcą psuć Ci życia sprzeciwem.

Na razie uczyń tak, jak Ci radzę i pisz mi, jak znosisz tę dobrowolną rozłąkę. Chciałabym również usłyszeć, czy zupełnie pewna jesteś, że wybrany przez Ciebie człowiek nie kieruje się też trochę interesem. Może on liczy na Twój posag? To oczywiście utrudniało by jeszcze sprawę — chociaż nie rozwiązywałoby jej w żadnym kierunku.

Pragnę, aby wszystko ułożyło się jak najlepiej i wierzę, że rzeczywiście tak będzie.

Masz list — przyślij mi swój adres.

Pozdrawiam Cię serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Kwiat Hawai II“ — serdecznie pozdrawiam. Wiem, że nie zapomnisz. Dziękuję Ci bardzo — za serce szczere.

Przesyłam Tobie, „Dziewczynko z Rogoźna“, wiązankę najszczerszych życzeń imieninowych. Wiesz, kto jestem?

„Małą Konawlijkę“ pragnę bardzo pocieszyć — może zechcesz napisać do mnie?

Pozdrawiam całą „Krainkę“!

PRZYJMĘ DO NASZEGO GRONA

„Marusia III“. Ależ z Pani, „Marusiu“, jest kochane dziecko i z żywą przyjemnością przyjmuję Cię do naszego grona. Myślę, że Pani nie ustępuje „Bajce“ ani w pogodzie, ani w serdeczności. Z drugiej strony cieszy mnie, że „Bajka“ wywarła aż tak miłe wrażenie i pozostawiła tyle po sobie słonecznego wspomnienia w domu państwa. Wiem, że jest ona kochaną bardzo dziewczynką, lecz cieszy mnie, że i inni to stwierdzają. Bardzo to miłe, bardzo! I pomyśleć, że to ona niechcący przekonała Panią do całej „Krainki“. Nie należałoby się właściwie dziwić, bo bajki bywają przeważnie synonimem wszystkich zalet i cudowności — lecz to są bajki, a żywa osoba mogłaby być mimo pseudonimu szarą prozą. Że tak nie jest, cieszę się ogromnie!

Spełniam Pani prośbę i przede wszystkim polecam Cię członkiniom „Rodzinki“, a po tym dopiero członkom.

„Marusia III“ komunikuje, że kto będzie ciekawy dowiedzieć się o niej bliższych szczegółów, ma skreślić do niej parę słówek. Będzie cierpliwie czekała na bodaj małą, najmniejszą ciekawość!

Wszystkim „Kraniakom“ śle serdeczne pozdrowienia. Natomiast „Bajce“, „Steni“ i „Kazi“ — buziaki.

Ponadto „Bajce“ donosi, że jest tą, która w dniu poznania przyniosła jej na balkon olbrzymie, śliczne wisienki.

Jeszcze raz wszystkich pozdrawia i prosi o pamięć!

Ja proszę o nadesłanie adresu, abym mogła dosłać listy, jeżeli wpłyną — w co, nawiasem mówiąc, nie wątpię.

PROSI O PRZYJĘCIE

„Bella donna“. Pod takim pseudonimem pragnie się ukrywać ta osóbka, która w słowach bardzo miłych prosi mnie o przyjęcie jej w szeregi „Krainiaków“.

Halo Krainiacy! Przedstawiam się. Jestem 19-letnią bardzo przystojną, wysoką, brunetką. Chciałabym znaleźć w „Krainie“ bratnią duszę, z którą mogłabym wzajemnie dzielić refleksje i myśli różne. Lubię muzykę, śpiew, taniec, kino, w ogóle miejskie życie. Przyjmijcie mnie proszę i uradujcie swymi listami.

Halo! „Rozśpiewana Izabello“ — czy naprawdę jesteś Irką M. z Cz....a? Jeżeli tak, to znamy się. Czy przypominasz sobie razem spędzone wakacje w 35 r. w Jastarni? A masz jeszcze tę pamiątkę od Toli Mankiewiczówny? Bo ja swoją mam jeszcze. Irko, obecnie jestem w Warszawie, proszę napisz do mnie!

„Wichę“, „Scholastykę“, „Przedwiośnię“, „Milutką Lenę“, „Smutną Iwonkę“ pozdrawiam i proszę o listy.

„Uśmiechnięta Wandulko“, jesteś piękna, napisz do mnie.

Pozdrawiam „Dor — on'a“, „Te - Em'a“, „Zrównoważonego Jasia“, „Waldego“, Romantycznego Śpiewaka“ i „Myśliwego“ oraz zasyłam uścisk dłoni i proszę o listy!

JAK DAWNIEJ, JAK ZAWSZE!...

„Blanka". Słusznie się domyślasz „Blanko", choć późno. Przeczytaj sobie listy do Ciebie z miesięcy letnich i jesiennych — było ich kilka i zdaje się, że sprawiły Ci sporo radości. Napisz mi, czy tak nie było. Był między innymi ten, w którym wypisałam cały caput z Twojego listu do mnie. Rozumiem Cię i jestem Ci najszczerszą przyjaciółką.

Pytasz mnie, czy też lubię jesień — o, nawet ogromnie! Pasjonują mnie złote dosytne jej barwy i cicha melancholia przekwitającej młodości; stłumionej, zamierającej siły. I godzę się z Tobą, że... „wiatr okrutny porywa i pędzi przed sobą listki, listki rdzawe, biedne, jak samotne serca — niczyje.

Tylko, że dodaję do tej refleksji jeszcze nową, a silną. Mianowicie myślę, że warto pochwycić w locie te rozbijane, poniewierane przez zły wiatr listki, choćby dla ich cennej, rdzawo - złotej barwy i wyskandowawszy im cudny acz bolesny końcowy epizod ich krótkiego życia — przytulić mocno do serca. Z drzew posmutniałych cicho spadając, przypada miękko do ziemi — w szczeliny i w szpary wnika — z wiatrem jakiś dziwny, niezapomniany wiedzie tan.

I mami i uszeka — maleńki, złoto - rudy jesienny czar!...

Pozdrawiam i czekam na list. List z równie miłymi pozdrowieniami i dobrymi słowy, jak... jak dawniej!

ZAPRASZAM UROCZYŚCIE

„Krakowianka". Ogromnie miło pisała Pani, „Krakowianko", w tym sekretniku koloru złotego. Rzeczywiście zaczynam żałować, że nie mogła Pani zrealizować zbożnego zamiaru przyjechania na Targi Pałuckie. Lecz skąd pewność, że poznałabyś mnie w tłumie. Wszak w dowodzie osobistym mam wypisane wyraźnie: „Znaki szczególne żadne!" Więc jakbyś mnie poznała? Nie jestem ani specjalnie wysoka, ani niska — takich kobiet, jak ja — było tam mnóstwo. Lecz dobrze, że nie było tam Pani, bo miałabym do Niej ogromną pretensję za pominięcie Redakcji. Uroczyście zapraszam Panią do nas na ewentualność przyszłorocznego przyjazdu. Posiedzimy sobie przy moim miłym biurku, pogadamy i wierzę, że sprawi nam to niemałą przyjemność. Dużo „Krainianek" i „Krainiaków" poznałam już osobiście i wdzięcznie ich wspominam. Są tacy, którzy przynajmniej raz w roku przyjeżdżają z wizytą do naszej redakcji. Bardzo ich kocham! I oni również lubią trochę swoją wierną przyjaciółkę. Więc liczę na Pani przyjazd, a na razie pozdrawiam serdecznie i przechodzę do komunikatów:

Panu „Jasnemu Felkowi" dziękuję za pozdrowienia i szczerze je odwzajemniam.

„Zrównoważony Jasiu", dlaczego zamilkłeś?

„Brazylianinie", czy Twój pseudonim jest zgodny z pochodzeniem — jeżeli tak, to pochodzimy z jednego kontynentu. Przyjmij szczery uścisk dłoni.

Dużo słońca, radości i zdrowia życzę „Białej Uajali", „Księżniczce Lianie" (byłam niegdyś w Kruszwicy), „Blance", „Młodemu Orłowi" i całej „Krainie"!

JAK ZECHCESZ...

„Stokrotka". List Pani przesłałam „Darii". Czy zadowolone jesteście z wzajemnej wymiany myśli?

Czekam na przyobiecany długi list i na fotografię. Czy pozwolisz umieścić ją w „Krainie?"

A w ogóle to napisałaś mi mało — bilet można było zapisać z obu stron. Rewanżuję się też krótkim listem w tej myśli, że jak zechcesz, abym Ci napisała więcej, sama też nie ograniczysz się do skromnego biletu. Za pozdrowienia uprzejmie dziękuję i przesyłam serdeczny uśmiech.

NIE PRZEJMUJ SIĘ!

„Smutna i brzydka Irka". Nie rozumiem Iruś, dlaczego przyjęłaś pseudonim „brzydka" — widziałam przecież Twoją fotografię i wiem, że brzydką nie jesteś. Wszelako jak życzysz sobie pod takim właśnie pozostawać pseudonimem, nie mam nic przeciwko temu — stwierdziłam tylko nawiasowo nieścisłość.

Nie masz potrzeby rozpaczania — myślę o Tobie tak samo serdecznie i miękko, jak o wszystkich moich „Krainiakach". A że nie odpisuję Ci natychmiast — no, muszę wszak przestrzegać kolejności. Swoją drogą, że ten monit przyśpieszył odpowiedź, bo wybrałam Twój liścik ze stosu i odpowiadam.

List Twój dla „Przedwiośnia" dostałam — czy korespondujecie już regularnie?

Napisz mi proszę, Iruś, o swoim zmartwieniu i nie insynuuj sobie, że zostaniesz wyśmiana. Zupełnie nie przypominam sobie, aby zdarzyło mi się kiedykolwiek wyśmiać któreś z moich bliskich z „Rodzinki".

Z całego serca pragnę Cię pocieszyć i dać trochę radości. Chociaż nie wiem właściwie, co Cię boli. Napisz mi szybko długi, szczery list i nie przejmuj się moim rzekomym chłodem dla Ciebie.

A teraz pozdrawiam Cię serdecznie i cichutko mówię Ci: „Nie przejmować się, Maleńka, byle zmartwieniem i przykrością — życie jest długie, więc może energii do cierpienia, a łez do płaczu nie starczyć. Życie jest długie!"



Trochę zasępiony profil, który widzimy na powyższym zdjęciu, należy do nadwornego poety „Krainy" p. Mieczysława Grzegorskiego z Sosnowca.

JESTEM MARYNARZEM

„Młody Marynarz z Żaglowca" prosi, abym pozwoliła mu się przedstawić „Rodzince". Zgadzam się chętnie i udzielam mu głosu:

„Mam lat skończonych 22 i jestem marynarzem. Pływam już od lat 7 po dalekim świecie. Mając lat piętnaście, zaciągnąłem się w Gdańsku na szwedzki statek żaglowy, i do tego czasu włóczyłem się po morzach całego nieomal świata i przeżyłem przygód wiele. Przeszłem wszystkie stopnie w tej służbie i skończyłem na randze I oficera pokładowego. Obecnie nasz stary miły żaglowiec został sprzedany w Rotterdamie na rozbiórkę, na szmelc — a załoga oczywiście zwolniona. Korzystając z tego, wróciłem, po latach włóczęgi po raz pierwszy do domu, w którym pozostanę do wiosny, aby potem znów wyruszyć na dalekie rejsy. I dlatego pragnę nawiązać kontakt listowny z Sympatyczkami i Sympatykami „Moich Powieści" i obiecuję im pisać i wówczas, gdy znowu będę wędrował po morzach i obcych krajach. Gotowy jestem posłać też Wam „Krainiacy", może ładne zdjęcia z różnych miejscowości — mam ich moc! No, ale musicie do mnie napisać.

Pozdrawiam wszystkich i czekam!

ŻEBY ZAPOMNIAŁA!...

„Biała Niezapominajka". Miła Dziewczynko, cieszę się, że nauczyłaś się tak dobrze jeździć konno, to jedna z przyjemnych rozrywek, gdy się jest jej amatorem.

Sądzę, że 3 mies. pobyt kuracyjny na wsi dobrze wpłynął na wadę Twego serca. Powinnaś codziennie zcierać całe ciało zimną wodą — to wcale skuteczne lekarstwo na chorobę sercową. Uspakaja nerwy, wzmacnia obieg krwi i przez to zmusza cały organizm do sprawnego działania. Zresztą wady serca są różne, a nie wiem, co Tobie dolega — więc nie kuszę się o podanie właściwego zabiegu leczniczego.

Napisz mi szybko o postępie kuracji — niepokoję się zawsze niezdrowiem moich bliskich z „Rodzinki". A Wy, „Krainiacy", postarajcie się posłać „Niezapominajce" dużo miłych i pogodnych listów, aby nie miała powodów do smutków i żeby pod wpływem radości zapomniała o bólu fizycznym serca. Serce to taki delikatny instrument, że każdy najlżejszy pyłek cierpienia i smutku szkodzi mu okrutnie i odwrotnie — każdy jasny promyczek wzmacnia go i pobudza do cudownej, przedziwnej gry.

„Biała Niezapominajka" chętnie chciałaby zdmuchnąć ten i ów pyłek ze swego chorego serduszka i wzamian dawszy mu jeden i drugi akord — usłyszeć pełną grę.

Pomóżcie jej do tego — dobrze?

Chętnie nawiązałaby korespondencję z „Lawrence'm, „Tu - Ryszardem", „Edwardem VIII. U pań niech również zaistnieje sympatia dla tej miłej Dziewczynki! Napiszcie jej proszę dużo!

Pozdrawiam Cię, „Biała Niezapominajko" i życzę ogromnie dużo dobrego!

Teczka Wujka Janusza

BARDZO PROSZĘ

„Charite". „Czy mogę przesłać nowele?" — bardzo proszę! I nowele i wiersze, bo zainteresowały mnie pierwsze próbki literackie Pani. Czekam więc z niecierpliwością na następną przesyłkę i pozdrawiam Panią.

DO WICHRU

Wichrze! Nim w skarg uderzysz dzwon,
Weź moją duszę — weź!
I z tych żałobnych, pustych stron
Do słońca, w blaski nieś!...

O, tam mi pieśni złote graj,
Co się rozwiały gdzieś,
Gdy prysnął złud młodzieńczych raj...
W te blaski nieś mię, nieś!...

I tam, gdzie serca szczęściem drżą,
Na skrzydłach nieś mię, nieś —
W słońce, od łzawych, chmurnych dni,
O, wichrze, weź mię, weź!...

„Charite".

WIERZĘ...

„Willy". Przyjacielu, życzenia są zawsze tak promienne i radosne, a życie jakże inne — nieraz bardzo szare i smutne! Mimo to wierzę, tak, jak Ty to pięknie piszesz, że będzie mi w życiu zawsze dobrze i pogodnie. Wierzę, bo wiara to słońce, które toruje drogę wśród ciemności strudzonemu wędrowcowi. Wszak prawda? Ślę Panu na dalekie kresy Polski dużo serdeczności i mocny, dziękczynny uścisk dłoni za wszystkie dobre słowa.

PAMIĘTAJ...

„Przedwiośnie". Nie potrafię ująć tego w słowa, co odczułem, gdy przeczytałem liścik Pani. Wiem tylko, że zrobiło mi się jakoś ciepło na sercu i równocześnie uczyniłem pierwszy krok na tęczowym moście, zbudowanym z pięknych życzeń moich Sympatyków. Żegnaj, Drogie „Przedwiośnie" i pamiętaj, że na swoim starym przyjacielu, Wujku Januszu, możesz zawsze polegać, jak na Zawiszy!

HALLO „SAMOTNA OLEŃKO"!

„Te - Em". Pierwszej części pocztówki Pana, ze względów zasadniczych, nie mogę przedrukować, natomiast drugą część przedrukowuję jak najchętniej:

„Halo! „Samotna Oleńko"! Czy Pani jest tak samotna, to nie powiedziałbym... A pierwsze litery imienia i nazwiska? Nazwiska, to gdzieś w drugiej połowie alfabetu — zresztą to mało ważne, prawda? Grunt, że fakt jest faktem!...

ZA ŻYCZENIA — DZIĘKUJĘ!

„Blanka". Jak dobre, jasne duszki spłynęły Twoje słowa, Droga „Blanko", do mego serca. Uśmiecham się do Ciebie, Nieznana, tym szczerym, przyjacielskim uśmiechem i dziękuję za życzenia serdecznym ucałowaniem rączek.

Raj kobiet

Przygotowywanie prezentów na Gwiazdkę

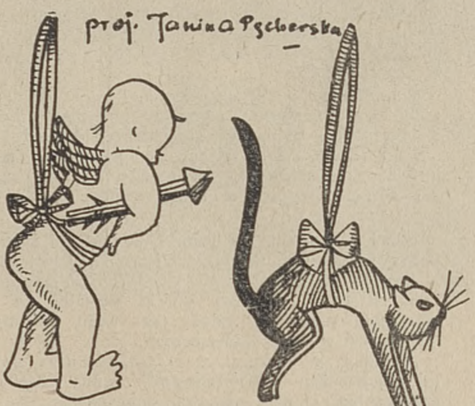
Na długo przed Gwiazdką, zastanawiamy się już, co komu podarować w to najradośniejsze z świąt. Kłopot to niemały, bo każda z nas posiada dyży bądź co bądź krąg rodziny, przyjaciół i znajomych, a budżetu przekroczyć nie chcemy.

Najtrudniejsze jest chyba powzięcie decyzji, co komu należy podarować? Jeżeli chodzi o najbliższą rodzinę — to jeszcze „pół biedy": znamy upodobania naszych najbliższych, w ostateczności można się spytać, co byłoby pożądanym prezentem. Trudniej jest zdecydować się na podarek dla kogoś obcego. Pytać wprost nie można, podstępnie wybadać teren — trudno. Trzeba jednak poświęcić w tym wypadku nieco czasu i wysiłku na zaobserwowanie upodobań i gustu osoby, dla której przeznaczony jest upominek — bo nieodpowiednio wybrana „gwiazdka" może nieraz nie tylko nie ucieszyć, ale nawet zrobić przykrość, lub conajmniej wprawić obdarowaną osobę w zakłopotanie.

Nie martwmy się tym, że małą, bardzo małą sumkę możemy w tym celu przeznaczyć na prezenty. Kosztowny upominek nie zawsze jest najmilszy.

Przede wszystkim — wybierając podarek dla danej osoby, kierujemy się jej gustem, a nie swoim. I nie idźmy po linii najmniejszego oporu: zamiast kupować gotowe prezenty, zróbmy coś same. Na pewno, mając rozmaite resztki w domu, mniej pieniędzy wydamy, a „gwiazdka" nasza będzie miała piętno oryginalności, i coś z naszego „ja"... Warto na to poświęcić trochę czasu i pracy!

Każdej przyjaciółce, czy dobrej znajomej, dbającej o piękno „na codzień", na pewno zrobimy przyjemną niespodziankę kółkami do serwetek, oryginalnie skombinowanymi z kawałków rozmaitych kolorowych materiałów. Dla dzieci dużo uroku będą miały kółka ze „zwierzakami" zrobionymi z tego samego materiału co kółecz-



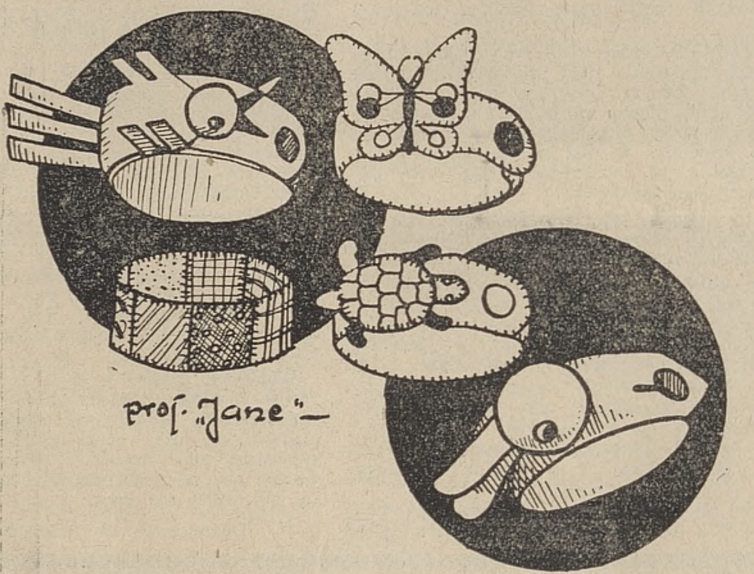


ka — odpowiednio haftowanymi, a częściowo tylko wykonanymi w kontrastowym kolorze (np. nóżki u żółwia, dziobek u ptaszków i kaczusi).

Dorastającej córce dużo radości sprawimy, ofiarując jej własnoręcznie wykonany garnitur do wełnianej sukienki, składający się z torebki i szerokiego paska, ozdobionego aplikacją lub haftem. To jest zawsze miłe i modne!

Są panie, które zawsze chcą zaznaczyć oryginalność swego ubioru — ot, choćby drobnym szczególikiem. Tym zróbmy „porte-bonheur" własnego pomysłu: Amorka z pękiem złotych strzał, angorskiego kota na wstążeczce i in. Nawiasem zaznaczę, że maskotki te, w zwiększonym formacie zużyć możemy w karnawale jako pomysłowe kotyliony.

Najwdzięczniejszym i najbardziej efektownym, choć drobnym podarkiem są kwiaty. Myślę oczywiście o sztucznych. Panują one w modzie niepodzielnie: nosi się je do bluzeczek, sukienek, kostiumów, płaszczy, i futer. Do sukienki — ślicznie wygląda lekki, zwiewny kwiat, zrobiony z organdi, o strzępionych brzegach; przy wełnianej sukience, czy kostiumie bardziej efektownie wypadnie bukiecik stylizowanych kwiatów z wełny w kratkę. Taki drobiazg dobrze dobrany potrafi najskromniejszej sukience nadać piętno spokojnej, wytwornej elegancji.



A można jeszcze wykonać delikatny, pajęczy komplet serwetek pod kryształy. Dalej jakieś miłe kilimy, makatki lub garnitur, składający się z czapeczki, szalika i rękawiczek — wszystko z miękkiej kolorowej włóczki. Wyrabia się obecnie już u nas włóczki zdrowo zakasujące przechwalone zagraniczne.

Takich maleńkich, a niemniej wzruszających prezentów możemy zaprojektować i wykonać mnóstwo, trzeba tylko z zapałem zabrać się do pracy i... przede wszystkim w niej wytrwać. Mnie pozostaje tylko życzenie serdecznego: „Szczęść Boże"!



Ze świata

Miasto, w którym nikomu nie braknie pieniędzy

Małe amerykańskie miasteczko Seneri Hill w stanie Pensylwanii zdobyło sobie rozgłos najszczęśliwszego miasta na świecie. Okazało się mianowicie, że żaden z jego obywateli nie odczuwa braku pieniędzy i jedynie istniejący tam bank musiał zamknąć swe podwoje, gdyż nikt nie chciał korzystać z jego kredytowych usług.

Zarząd banku ogłosił sprawozdanie, w którym podkreśla fakty następujące: 1) Wkłady na rachunkach bieżących i książeczkach oszczędnościowych rosną nieustannie; 2) W ciągu całego roku ubiegłego nie znalazł się ani jeden mieszkaniec Seneri Hill, któryby zdyskontował weksel, zgłosił się o jakąkolwiek pożyczkę hipoteczną, czy inną; 3) W tych warunkach bank istnieć nie może, musi bowiem płacić procenty od wkładów, pensje dyrektorów i urzędników, a nie ma żadnych dochodów. Nawet ci obywatele, którzy grają na giełdzie, nie korzystają z żadnych kredytów, dokonują wszystkich transakcyj gotówką i nie zastawiają nigdy swych papierów mimo, że bank ofiarowywał im doskonałe warunki.

Te dziwne obyczaje obywateli Seneri Hill, odbijają się w przykry sposób na akcionariuszach banku, który ginie zdławiony nadmiarem

wkładów. Akcjonariusze ci otrzymają tylko 75 procent włożonego kapitału, reszta bowiem zostanie obrócona na pokrycie strat.

I to jest możliwe

Przysłowiowe roztargnienie profesorów jest tematem mnóstwa anegdot, ale mało które z nich dorównuje autentycznemu wyczynowi bułgarskiego profesora Vancera z Sofii. Profesor ten słynny z roztagnienia wyskoczył przez okno ze swego mieszkania na trzecim piętrze i potłukł się ciężko. Podejrzewano go o zamach samobójczy, w szpitalu jednak okazało się, że przyczyna wypadku jest o wiele oryginalniejsza. Profesor Vancer opowiedział, że do mieszkania na trzecim piętrze sprowadził się bardzo niedawno, poprzednio mieszkał na parterze i zwykł był, gdy mu się spieszyło, wyskakiwać oknem na ulicę. Przez roztargnienie zastosował tę samą metodę w nowym mieszkaniu.

JANINA GROMKÓWNA

ZA GŁOSEM SERCA

NOWELA.

Zdala od wielkiego miasta, wśród pól i lasów, wznoszą się mury świątyni. Tutaj to bracia Franciszkanie obrali miejsce do pracy duchownej. Cichy, poważny z wyglądu klasztor oraz wszelkie zabudowania opasuje dość gruby mur, przypominający dawne fortece. Życie wewnętrzne płynie cicho, jednostajnie — z wyjątkiem niedziel i kilku dorocznych świąt, kiedy to na mszę św. lub odpust, przybywają z różnych okolic pobożni, aby uczcić dzień patrona klasztoru, czy też z innej okazji. Dziś, jak w każdy zwykły dzień, wychodzą zakonnicy ze swych cel oraz uczniowie z mieszczącego się tam również seminarium duchownego i śpieszą na ranną modlitwę do klasztoru, gdzie pod nadzorem Ojca Wincentego składają w ręce Najwyższego całodzienne swe życie. Ojciec Wincenty, poważny, dobroduszny sługa Boży, czuwa nad swymi wychowankami i wrazie potrzeby dodaje sił do pracy i wytrwania, to też zauważyły dziwny rozstrój w twarzy jednego ze swych uczniów, zaniepokoił się bardzo, a skinąwszy na niego po modlitwie, rozkazał przyjść do swej celki. Cela jego mieściła się na parterze i choć słońce miało tutaj dostęp, była jednak ponurą, gdyż zakratowane okna oraz nędzne umeblowanie jej, przypominało raczej celkę więzienną. Zakonnik siadłszy przy oknie, zaczął przeglądać jakieś pismo religijne, gdy wtem odezwało się lekkie pukanie i w progu ukazał się niezwykłej urody młodzieniec. Był nim Zbigniew Orliński, blondyn o ślicznych szafirowych oczach oraz lekko rumianej szlachetnej twarzyczce, syn właściciela dóbr w niewielkiej wiosce Maleńcu, oddany po śmierci ojca do seminarium OO. Franciszkanów. „Ojcze Wincenty, stawiłem się na wasze życzenie, — wymówił prawie jednym tchem młodzieniec. Wtedy to zakonnik oderwał oczy od książki, i spojrzawszy na młodzieńca rzekł: „Siadaj Zbigniewie i powiedz, co wpłynęło na zmianę twego usposobienia, gdyż, jak zauważyłem, od pewnego czasu unikasz kolegów i kiedy dawniej tak chętnie przebywałeś z braćmi zakonnymi, pomagając im w pracy, teraz nie odwiedzasz ich wcale, chodząc ciągle zamyślony. Moim jest zatem obowiązkiem zapytać o twe dolegliwości, gdyż czuwam nad wami, jako rodzony ojciec.

Słowa te wzruszyły Zbigniewa, a ponieważ był z natury szczery i otwarty, zaczął więc śmiało:

„Ojcze, jak zawsze nie uszło nic przed twym okiem, tak i teraz przyznaję, że się ono nie pomyliło, gdyż czuję już ten rozstrój duchowy od kilku dni i mam dziwne przeczucie, że w niedługim czasie nastąpi jakiś przełom w mym życiu — jakaś niesamowita chwila, od której życie moje przejdzie na inne tory.

Ojciec Wincenty zadumał się na chwilę, a potem pokrzepił wątpiącą duszę i wzmocnił ducha w młodzieńcu.

Tak upłynęło znowu kilka dni, a twarz Zbigniewa coraz więcej smutniała, w oczekiwaniu tego jakiegoś wstrząsu.

Nadeszła wreszcie niedziela, a z nią weszło trochę ruchu w życie braciszków, gdyż z najbliższych okolicznych wsi ściągnęły tłumy na nabożeństwo.

Zbigniew poweselał na myśl, że zobaczy trochę obcych, a jednak dobrze znanych mu twarzy, i z niecierpliwością oczekiwał przyjazdu państwa Podchorzewskich z córką, 18-letnią panienką, która tak pięknie się modli złożywszy ręce przed ołtarzem. Na wspomnienie jej, serce zadrgało w młodzieńcu, zaczął więc odmawiać pośpiesznie modlitwy, aby oderwać te dręczące ciągle jego umysł myśli. Lecz, gdy tylko wszedł do kościoła, wzrok jego padł najpierw na szczupłą postać panienki, na jasną jej główkę i rączki błagalnie wzniesione do Boga. Podczas całej mszy, myśli jego błądziły gdzieś w dworku Podchorzewskich, to znów w celce klasztornej i zawsze kończyły się na jasnej główce panienki.

Po nabożeństwie, jak zwykle, państwo Podchorzewscy odjechali do domu, a nasz młodzieniec ze wzrokiem utkwionym w ziemię — kroczył do swej celki.

Czy on się... nie, nigdy, do tego niedojdzie, to się stać nie może!

Nazajutrz Ojciec Wincenty dał rozkaz zbierania kwesty na klasztor. Jakże radowała się dusza w Zbigniewie na myśl, że jemu przypadło Podchorzewo i że zobaczy ją, tę swoją jutrzenkę. Droga dość długa dla każdego, wydała mu się niczym, a chwila, w której ma zobaczyć jasną główkę panienki, stawała się coraz droższą. Nie spostrzegłszy się nawet, podszedł prawie pod sam ganek, gdy wtem srebrzysty głosik dziewczęcy wychodzący z głębi domu przerwał rozmyślania i kazał powrócić do swej misji.

Wszedłszy, pochwalił Boga, przy czym został mile powitany przez samą gospodynię, gdyż męża w domu nie było, jak się później dowiedział.

Pani Zofia, domyślając się przyczyny przyjęcia gościa, przeprosiła go na chwilę, mówiąc, że przyśle córkę Krzyśkę, a sama wyjdzie wydać rozporządzenie.

Jakoś niebawem do salonu weszła miła panienka, pełna wdzięku i urody, w jasnej, lekkiej sukience, z książką w ręku.

Przywitawszy nowego gościa starała się z nim nawiązać rozmowę, gdyż tak dużo pragnęła się dowiedzieć o życiu klasztornym.

Zbigniew z energią, z całym zapałem swych 22 lat opowiadał zainteresowanej tym Krzyśce, nie spuszczając z niej oka ani na chwilę.

Krzyśka pod jego uporczywym wzrokiem, pod błyskiem tych oczu młodzieńczych, wyrażających największe uczucie, rumieniła się co chwila i zasłoniwszy głębię swych źrenic gęstą firanką rzęs, słuchała dalej.

Jaki ten braciszek ładny, jakie ma piękne imię, jaką wyniosłą postać, a jaki mądry... i dlaczego kształci się na księdza, dlaczego nie ma swej wybranki, jak każdy piękny młodzieniec w powieści?...

To pytanie ciągle przychodziło jej na myśl, bo Krzyśka wiedziała, że na księdza kształcą się tylko z powołania, ze złamanego życiem serca lub też dla zaszczytnego stanowiska.

Nieraz już otwierała usta, aby zadać to pytanie, lecz spojrzawszy na twarz młodzieńca traciła pewność siebie i znów zaciskała karminowe usteczka.

Widząc to wahanie dziewczyny, a domyślając się z toku zapytań czego dotyczyćby mogło, Zbigniew zaczął opowiadać o swej rodzinie, o matce staruszce, która po śmierci ojca pragnęła, by jej jedynak został kiedyś księdzem i głosił Słowo Boże.

On, chcąc ucieszyć matkę, wstąpił właśnie do klasztoru OO. Franciszkanów, aby zdobyć naukę, i nawet polubił to życie klasztorne, lecz niestety, odezwała się w nim jego przekorna natura i zdaje się, jak mówił, „woła mnie bym zawrócił z tego pola".

Krzyśka na te słowa poweselała i ucieszona niezmiernie zaczęła wypytywać szczegółowo o Maleniec, rodzinną wieś Zbigniewa, o jego mały dworek, i matkę Jadwigę.

Rozmowa potoczyła się szczerze, przyjaźnie, i gdy oboje zaznajomili się z sobą, weszła pani domu.

Wszedłszy do jadalni, młodzieniec przywitał pana prosząc na herbatę.

Ksawerego, który przed chwilą powrócił z pola, a siadłszy, objaśniał oboje państwa o zamiarach Ojca Wincentego w przeprowadzeniu pewnych zmian w gospodarstwie klasztoru.

Państwo Podchorzewscy, ludzie gorliwie oddani swemu gospodarstwu, z zajęciem słuchali młodzieńca, a w myślach ich przesuwało się również pytanie dręczące poprzednio Krzyśkę.

Gdy ostatnie blaski zachodzącego słońca wpadały przez okno, Zbigniew powstał, podziękował za jałmużnę, przyszykowaną ręką pani Zofii, pożegnał Podchorzewskich i udał się w powrotną drogę.

Podążał teraz do klasztoru i myślał o swym życiu.

On, zawsze oddany swej matce, poszedł według jej woli, lecz teraz czuł, że siły go opadają, że cała jego natura buntuje się w nim, czuł, że nie dla niego jest życie samotne, on potrzebuje słoneczka, które promiennie oświetlałoby jego duszę, on potrzebuje powiernika, który poszedłby z nim wszędzie przez całe życie pełne trosk i smutku: Słoneczkiem moim jesteś ty, Krzyśko — myślał. Tyś mi wszystkim, tyś gwiazdą przewodnią, tyś najpiękniejszą poranną zorzą mego życia, — ty musisz być moją. Tak dłużej nie będzie, on wytłumaczy się matce, on powie Ojcu Wincentemu, on nie będzie krępował swej woli węzłami, ale pójdzie za głosem serca.

Tak dręczony myślami przybył do klasztoru.

Złożył wszystko zebrane w ręce ojca zakonnego, a sam udał się do siebie, aby zdala od wszystkich zagłębić się nadal w rozmyślania.

Jak mam postąpić — myślał sobie?

Czy pójść jutro do swego zwierzchnika, opowiedzieć mu wszystko, czy też wyjść pokryjomu nie zawiadomiwszy nikogo?

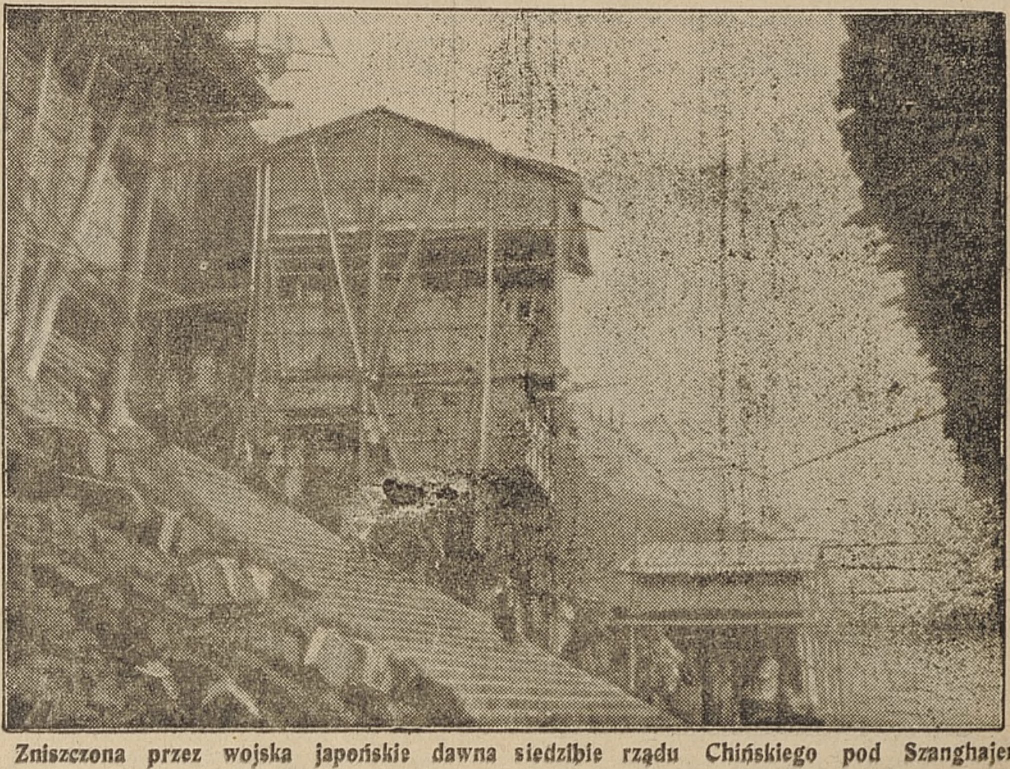
Ale nie, on nie ucieknie, bo co na to powiedziałby jego matka, — powie wszystkim, postąpi jak człowiek prawy, a potem niech go oskarżają.

Wtem odezwał się miarowy odgłos dzwonka wzywający na wieczerzę.

Wyszedł ze swej celki i razem z wszystkimi udał się do ciemnej większej sali przeznaczonej na jadalnię, a gdy wszyscy się zebrali, rzucił okiem dokoła, poprosił o ciszę i przemówił łamanym, drgającym ze wzruszenia głosem: „Koledzy i bracia, przebyłem z wami całe pięć lat, gdyż tego pragnęła moja matka, którą kocham i która jest mi wszystkim na świecie, czułem się do tej pory z wami jak w rodzinie, wszyscy byliście mi bliscy, wszystkich pokochałem i gdy teraz u schyłku nauki odezwało się we mnie serce, czuję, że niegodny byłby ze mnie sługa Boży, który pokochał rzeczy inne ziemskie, dlatego proszę was, nie oskarżajcie mię zbyt ostro, ale zechciejcie zrozumieć słabość zwykłego grzesznika.

Walczyłem długo z sobą, z początku myślałem, że to chwilowy upadek ducha, lecz, niestety, czym większa była walka, tym jaśniej spostrzegałem, że staczam się niżej, coraz niżej; dlatego też proszę, pozwólcie, abym razem z wami przebył tę jedną jeszcze noc, a potem ruszył z tego świętego miejsca, by go dłużej nie kalać.

(Dokończenie w następnym numerze).



Zniszczona przez wojska japońskie dawna siedziba rządu Chińskiego pod Szanghajem.

kierowania losami i z uczuciem bezwładnej niemocy czekał, co mu przyniesie najbliższa przyszłość.

ROZDZIAŁ CCXXVII.

Nowi znajomi

Słońce dawno już zaszło, a Waldau siedział jeszcze zawsze na tym samym miejscu, jak skamieniały.

Wtem uczuł jakąś ciężką rękę na swoim ramieniu i odwróciwszy się zobaczył przed sobą olbrzymią postać i poczciwą jasną twarz jednego z tutejszych szukających za złotem kolonistów, który mu już dawniej wpadł w oko.

Cóż mój chłopcze, szukasz dnia wczorajszego? — przemówił do Leona po angielsku.

Leon, który bardzo mało rozumiał po angielsku, a do tego był całkiem oszołomiony swoim nieszczęściem, nie rozumiał przybyłego i nie wiedział, co mu ma odpowiedzieć.

Lecz dobroduszny Anglik nie dał się odstraszyć i zapytał powtórnie:

— Gdzie jest Chińczyk? Gdzie jest Luen-Sing?

Zrozumiawszy go tym razem, odpowiedział Leon łamaną angielszczyzną:

— Luen-Sing uciekł tej nocy zabrawszy całe moje uzbierane złoto!

— To oszust, ten skośnooki! — zawołał jasnowłosy syn Albionu — przeczuwałem to, gdym was razem widział, ale ja, Bill Fredders, nie mam zwyczaju mieszać się w nieswoje sprawy. Gdym cię, przechodząc tędy, zobaczył tak siedzącego, domyśliłem się zaraz, co się stało i przyszedłem cię pocieszyć. Co teraz myślisz począć, mój chłopcze!

Leon wstał machinalnie, a Bill Fredders otoczywszy go ramieniem pociągnął za sobą do swego namiotu, którego całym umeblowaniem była drewniana ławka ze stołem i prymitywne łoże przykryte kocem i dwiema skórami zwierzęcymi. W jednym kącie stało kilka kamieni, przypuszczalnie kuchnia.

Zaświeciwszy pochodnię, zaprosił gospodarz Leona, aby wszedł do skromnej jego zagrody. Sam zaś wzniecił między kamieniami, służącymi mu za kuchnię, potężny ogień i postawił nad nim kocioł z wodą. Potem wyjął drugie naczynie, do którego nakroił słoniny i wkrótce rozszedł się po namiocie przyjemny zapach smażącej się słoniny. Gdy woda się zagotowała, wrzucił Bill do niej garść herbaty i wyciągnął z kąta blaszany garnek i próżną flaszkę, mające zastąpić filiżanki. Bochenek chleba i trochę rumu w butelce uzupełniły przygotowania do tej uczty.

Bill odstąpił Leonowi gościnnie swój blaszany garnek, do którego nalał herbaty z rumem, wypłukawszy naczynie wprzód należycie gorącą wodą. Potem nakroił chleba i postawiwszy między sobą i gościem swym garnek ze smalcem i skwarkami i zachęcał Waldaua do jedzenia, dając mu dobry przykład.

Leon nie dał się długo prosić. Przez całą dobę nie miał nic w ustach, był więc wygłodzony jak wilk. Bill okazał też po całodziennej pracy bardzo dobry apetyt i pakował co mógł, nie przerywając kolacji ani jednym słowem



Podczas wielkiego polowania w dżungli indyjskiej zabito wspaniały okaz tygrysa zwanego tam „pożeraczem ludzi."

Dopiero, gdy się należycie pokrzepił, otarł usta rękawem i rozpoczął na nowo konwersację.

— Jak ci smakowało, mój chłopcze! — zapytał swego towarzysza.

Leon pochwalił ucztę i chciał mu za nią podziękować, ale Bill przerwał mu krótko.

— Nie ma za co, mój chłopcze! — rzekł serdecznie. — Mam cię za uczciwego człowieka i chcę cię wziąć do spółki. Dwie pary rąk więcej zdziałają niż jedna, a dwie głowy więcej wymyślą niż jedna i do tego taka słaba, jak moja! Co myślisz o mej propozycji?

— Zgoda! — rzekł Leon, któremu podobała się otwartość i szczera rubaszność Billa. Podali sobie ręce i spółka była zawarta.

— A teraz mi powiedz, jak się nazywasz, mój chłopcze! — zapytał Bill. — Jest to rzecz, którą trzeba wiedzieć, aby ze sobą móc pogadać. Ja jestem Bill Fredders z Massachussets.

— Ja jestem Niemcem i nazywam się Leon Waldau — była odpowiedź.

— Waldau? — powtórzył Bill, krztusząc się — można sobie język połamać. Wiesz co? Będę cię nazywał Jim. Był to mój dobry przyjaciel, którego niestety połknął krokodyl, gdyśmy byli w Aconcagna.

Leon zgodził się na imię Jima. Obaj wspólnicy ułożyli się do snu. Bill odstąpił Leonowi swoje łoże, sam zaś położył się na stół, nakrywszy się jedną ze skór zwierzęcych, a głośne chrapanie oznajmiło wkrótce, że zasnął snem sprawiedliwych.

Nie tak prędko zamknęły się powieki Leona, który nie mógł tak łatwo przeboleć gorzkiego zawodu, który go spotkał i myśli, że teraz znów na czas nieograniczony oddalił się od swego celu.

Nazajutrz rano sporządził Bill skromne śniadanie, po którym obaj wyszli do pracy.

Powodzenie tego dnia nie było duże. Po całodziennej pracy znaleźli zaledwie kilka drobnych ziarnek złota. Następnego dnia wcale nic nie wykopali. Bill jednak nie tracił nadziei i dobrego humoru.

Lecz gdy cały tydzień tak niefortunnie minął, a humor Leona stawał się coraz gorszym, rzekł Bill pewnego wieczora, skrobiąc się w głowie:

— Wiesz co Jim? Widzę, że tu nic się więcej nie da zrobić. Chodźmy dalej na północ. Tam podobno są większe pokłady złota!

— Zgoda! — zawołał Leon.

— Więc wybieramy się jutro w drogę! — zadecydował Bill stanowczo.

O pierwszym brzasku następnego dnia opuścili obaj wspólnicy wybrzeże rzeki Molekumny.

Obładowani kocami i najpotrzebniejszymi narzędziami i naczyniem wybrali się Bill z Leonem pieszo w pogoń za szczęściem.

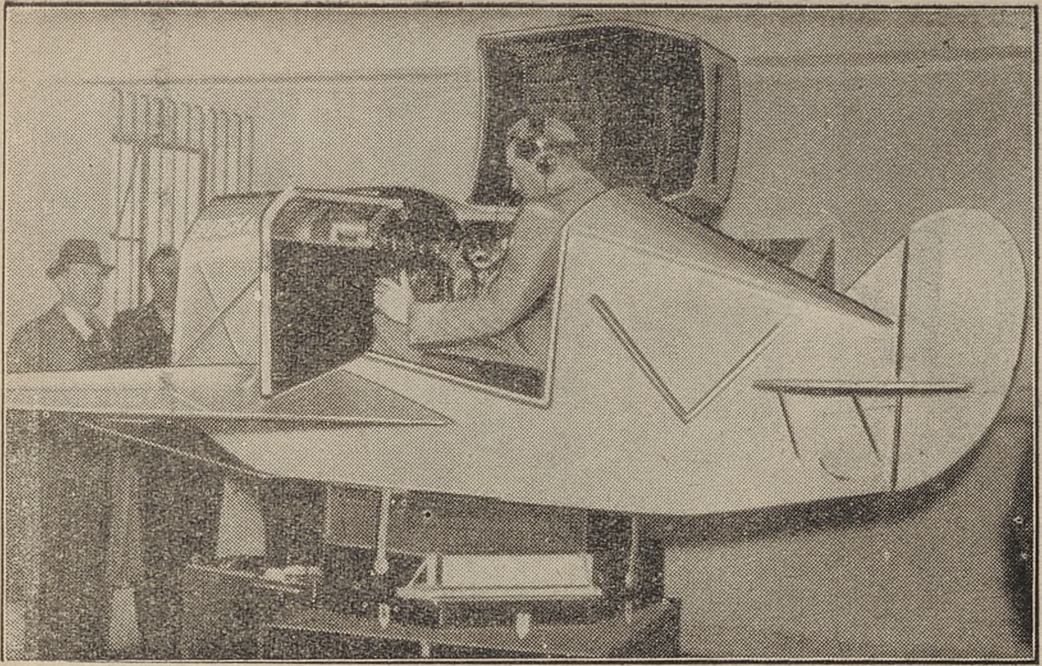
Wedrowali przez pustą, dziką okolicę, gdzie rzadko tylko napotkali jakąś ludzką zagrodę, a po części musieli nocować pod gołym niebem. Jedynym ich napojem była woda źródlana, jedynym pożywieniem zwierzęta leśne, które oni sami strzelali i na rożnach piekli. Czasami nie spotykali całymi dniami żadnego człowieka; czasem znów dzikich Indian, z którymi musieli się ścierać. Walki te jednak kończyły się zawsze szczęśliwie dla Billa i Leona.

Wędrówka ta trwała już dość długo, a obiecanych kopalń Billa wcale jeszcze widać nie było. Flegmatyczny Anglik nie tracił odwagi. Leon, zaś bardzo był przygnębiony. I rzeczywiście, amunicja się już kończyła i groziła im zguba na wypadek, gdyby do tego czasu nie dotarli do zamieszkałej okolicy i nie znaleźli jak najprędzej zarobku.

Pewnego wieczora, gdy siedzieli zasmuceni przy ognisku, usłyszeli w pewnym oddaleniu jakiś trzykrotny jękliwy krzyk ptaka preryjnego.

— Tu przecież nie ma ptaków! — mruknął Bill zdziwiony. — Czy miałoby to być wołanie indian Winebagskich? Chciałbym się niezwłocznie o tym przekonać!

To rzekłszy, ściągnął usta i naśladował łudząco wołanie ptaka preryjnego trzy razy z rzędu. Po krótkim czasie ozwał się taki sam świst jako odpowiedź.



Treningi lotów w angielskich zakładach lotniczych.

— Jest tak, jak przypuszczałem — zawołał Bill — Indianin Winobagski jest w pobliżu. Chciałbym wiedzieć, co go tak daleko zapędziło?

Powtórzył raz jeszcze wołanie, a po kilku minutach rozchyliły się krzaki i ukazał się czerwono-skóry Indianin w pełnym stroju wojennym.

— Ukas! — zawołał Bill uradowany — to ty?

— To jest Ukas! — zapewnił go Indianin z godnością — po co przyjaciel mój, Bill, woła swego czerwonego brata?

— Nie mogłem sobie wierzyć, aby wasz szczep rzeczywiście mógł tu być w pobliżu i chciałem się co do tego upewnić! — odparł Bill. — Weź fajeczkę, symbol zgody i pokoju i usiądź przy ognisku.

Indianin uczynił zadość wezwaniu i usiadłszy na ziemię, wziął podaną mu fajeczkę, pociągnął z niej kilka razy i podał ją Leonowi. Ten, znając zwyczaje Indian, uczynił to samo i podał ją dalej Billowi.

— Popatrz Jim! — rzekł Bill zadowolony — to jest mój przyjaciel Ukas, przezwany „skaczącym jeleniem". Jest to poczciwy chłop!

Podczas tego przedstawienia miał Ukas tak poważną minę, że odbijał nią komicznie od hałaśliwej wesołości Billa. W ręku trzymał topor, a za pasem wisiał kindżał i pistolet. Naga pierś jego i ramiona były tatuowane, przy czym często powtarzał się kształt skaczącego jelenia. Na plecach miał zawieszoną skórę zwierzęcą, wokoło szyi wisiał naszyjnik z kłów dzikich zwierząt. Na nogach zaś miał obuwie ze skóry dzika. Włosy były na czubku związane, nastawione w górę i przystrojone piórami.

Fantastyczny ten strój nie szpecił jednak pięknego Indianina. Leon patrzył z podziwem na czarne lśniące włosy, piękne orle rysy twarzy, czarne aksamitne oczy i cudowną budowę ciała Indianina, który z poważnym spokojem słuchał przemowy Billa.

— Czy cały wasz szczep jest tutaj? — zapytał Fredres. — Czyś ty się może wyrzekł Winebagów?

— Ani jedno, ani drugie! — odparł Ukas poważnie. — Ale lew Winebagów wysłał mały oddział dla zbadania, czy lasy tu są pełne zwierza i jeziora dobrze zarybione.

— Kto prócz ciebie jeszcze jest tutaj? — zapytał Bill.

— Musconjee, duży szczupak; Mucktícknow, czarny orzeł i Koho — odpowiedział Ukas uczynnie.

— Gdzie oni są teraz? — zapytał Bill swego lakonicznego gościa.

— Są oni w pobliżu mego białoskórego brata — rzekł znów Indianin — jak biały brat da im znak, to tu przybędą.

Bill zamyślił się na chwilę, po czym dał trzykrotny sygnał ptasi.

Wkrótce ukazała się trójka Indianów, tak samo przybranych w strój wojenny, jak Ukas. Bill znał się z nimi wszystkimi i powitali się serdecznie. Nastąpiła ta sama ceremonia z fajką, po czym Indianie usiedli w milczeniu obok ogniska.

— Dokąd idziecie teraz, moi przyjaciele? — zapytał Bill przybyłych.

— Wędrujemy na północ — odparł Mosconjee, starszy człowiek — śpieszymy z odpowiedzią do naszego wodza!

— Mój białoskóry brat jest przyjacielem Winebagów — odpowiedział Masconjee — ale czy ten drugi biały zechce sprzyjać czerwonoskórym.

To mówiąc wskazał palcem na Leona.

— Ja ręczę za niego! — zapewniał Bill.

Indianie nie sprzeciwiali się więcej, i od tej chwili czuli się swobodniejsi przy ognisku Billa.

Wydobyli swój prowiant, który się składał z pimmikonu i rodzaju chleba z arrowrort. Pimmikon jest rodzajem konserwy mięsnej, sporządzony w ten sposób, że się mięso kraje w cienkie płatki, potem się je suszy i rozciera na masę, a wkońcu miesza się z topionym tłuszczem i chowa do woreczków ze skóry bawolej.

Posiliwszy się nieco, ułożyli się indianie do snu, ale zawsze jeden z nich zostawał na straży i podtrzymywał ogień.

Nazajutrz wybrał się Bill z Leonem pod opieką Indian w dalszą podróż. Czerwono-skórzy towarzysze ich byli bardzo małomówni. Z największą uwagą jednak śledzili bieg ptaków i oglądali drzewa, aby zbadać, czy znaki wcięte w pień, były od szczepów przyjaznych im, czy wrogich.

Obserwowali też ostro każdy ślad nogi ludzkiej na ziemi. Prowiantem, który mieli ze sobą dzielili się po bratersku z Billem i Leonem, wybawiając ich tym sposobem od głodu.

Bill był w swoim żywiole; włóczenie się z indianami było zupełnie w jego guście. Gdy go się Leon pytał, kiedy nareszcie zdążą do kopalń, które były właściwym celem ich wędrówki, odpowiadał mu zawsze wymijająco. Zdawało się, jakoby zapomniał o swoim pierwszym planie i błądził już tylko bezcelowo po szerokim świecie, zdając się na przypadek.

Wreszcie przyznał się Leonowi, że są teraz setki mil angielskich oddaleni od właściwej drogi i że zamiarem jego teraz jest dotrzyć do obozu Winebagów. Zachęcał Leona, aby mu towarzyszył i perswadował, że i tam szczęście znajdzie, jeśli mu ono przeznaczone.

Rozczarowanie Leona nie miało granic. Zapragnął natychmiast opuścić Billa i wrócić do kopalń, lecz po namyśle odstąpił od tego planu. Nie miał pieniędzy, prowiantu, ani broni, wszystkich rzeczy, bez których nie mógł się ruszyć, nie chcąc wystawić się na niechybną śmierć. Dlatego musiał, chcąc nie chcąc, pójść ze swoimi towarzyszami do obozu Indian Winebagskich.

Ale nadzieja lepszego losu zupełnie go opuściła.

ROZDZIAŁ CCXXVIII

Uczta myśliwska Indian Winebagskich

Po dłuższej wędrówce osiągnęli nierówni towarzyszę wreszcie osadę swoich współplemieńców. Gdy zdala jeszcze zobaczyli dym wychodzący z kominów i usłyszeli ruch panujący we wiosce, padli indianie na ziemię i głośną modlitwą podziękowali swemu Bogu, którego zwą Wielkim Duchem, za szczęśliwy powrót.

Potem Ukas zatrąbił głośno, dając znak, że wysłańcy wrócili.

Wieś indian składała się z rzędu wigwamów, t. j. chatek indyjskich, u których wejścia wisiały czaszki ludzkie i inne tro-



Na fotomontażu powyższym widzimy (u dołu) Mussoliniego w chwili, gdy kładzie kamień węgielny pod budowę wielkiego miasta filmowego w Włoszech. U góry widoczny Mussolini przy aparacie filmowym.

fea zwycięskie, poruszające się na wietrze.

Tłum ludzi wybiegł na przywitanie nowo przybyłych. Były to nie tylko dzieci i niewiasty różnego wieku, ale i poważni mężczyźni, którzy opuścili swoje wigwamy, aby się spotkać z powracającymi wysłańcami.

Bill znał się z nimi wszystkimi i nazywał ich po imieniu.

Na Leona zaś patrzano nieufnie, dopóki Ukas i Masconjee, którzy widocznie zażywali wielkiego miru u swoich, nie zaręczyli osobiście, że i ten biały jest ich szczerym przyjacielem.

Odprowadzeni przez tłum udali się wysłańcy do wigwamu swego wodza.

„Lew", jak go nazywano, spoczywał na swym łożu, wyścielonym skórami zwierzęcymi i podniósł się na widok posłów.

Obok niego stanęła jego żona, piękna kobieta o długich, czarnych warkoczach, z najmłodszym dzieckiem przy piersiach. Wódz miał tylko zarzuconą przez plecy skórę lwa. Był jedynym ze swego szczepu, któremu się ta odznaka należała.

Wysłuchawszy sprawozdania wysłańców, zaczął się Lew naradzać z najstarszymi swego szczepu, a sprawozdanie to o okolicy południowej tak było niekorzystne, że postanowili nie opuszczać na razie swej siedziby. Równocześnie oznajmił wódz, że za dwa dni zaczną się uroczystości poprzedzające polowanie, a wiadomość ta powitana została ogólnym okrzykiem radości.

Dopiero po ukończeniu spraw urzędowych przywitał Lew swego gościa bardzo serdecznie.

— Witaj mi bracie — przemówił do Billa — dusza moja cieszy się twoim widokiem, bo policzki twe błyszczą jak księżyc, a oczy twe świecą się jak dwa słońca. Witam mój niech będzie twoim wigwamem, pod dachem Lwa zostać możesz jak długo ci się podoba. Kogo jednak biały brat mój ze sobą przyprowadził?

— To jest mój przyjaciel — rzekł Bill — spodziewam się, że i jego przyjmiesz.

— Twój przyjaciel jest i moim przyjacielem — odparł wódz solennie — twój brat niech będzie moim bratem! Witam go!

Podał Leonowi z godnością wązką, ale muszkularną swą prawicę i zapytał zgromadzonych podwładnych swych głośno:

— Kto chce przyjąć tego białego do swego wigwamu?

Masconjee wystąpił na środek i rzekł:

— On będzie moim gościem!

To rzekłszy, złapał Leona bez ceremonii za rękę i pociągnął go za sobą.

Zebranie Winebagów było ukończone.

Leon byłby chętnie został z Billem, gdyż nie znając języka Indian, musiał się z nimi tylko na migi porozumiewać, lecz Masconjee mówił dość płynnie po angielsku i zachowywał się z taką godnością, że Leon powziął do niego zupełne zaufanie.

U wejścia do wigwamu Masconjeego wisiały też liczne skalpy zdobyte w walce z nieprzyjaciółmi, ogony lwie i lisie, skóry wężów i kły dzikich świń.

Starsza kobieta i młoda, bardzo ładna dziewczyna wyszły na jego powitanie. Przemówił do nich, tłumacząc im widocznie obecność Leona, po czym obie podały mu rękę.

Zdziwiony popatrzył Leon na młodą indiankę uderzony nadzwyczajną jej pięknością. Mogła mieć około 17-stu lat, a cudowna budowa jej ciała uwydatniała się w całej wspaniałości spod skromnego kostiumu.

Czarne, bujne sploty spadały jej prawie do kostek, a cera regularnej twarzy była tak jasna, że można ją było wziąć za brunetkę, należącą do szczepu kaukazkiego.

Współplemieńcy nazywali ją „Śmiejącą Wodą", dla pięknego jej głosu i pieśni, które nieustannie miała na ustach, jakoteż wesołego usposobienia. Właściwe jej imię było Kudia.

Zaproszony przez Masconjeego wstąpił Leon do wnętrza wigwamu. Naokoło ścian były wygodne, jak na pojęcia indyjskie, łoża z mat sczcinowych przykrytych skórami zwierzęcymi. Na środku palił się ogień, a dym wychodził przez wielką dziurę, znajdującą się zamiast komina na środku dachu.

Kobiety zajęły się przyrządzaniem wieczerzy. Piekły nad płomieniem ćwiartówkę bawołą, a w gorącym popiele placki z arrowrootu.

Kudia wyszła na chwilę i wróciła z dużym melonem, który miał służyć na deser i uczta była gotowa.

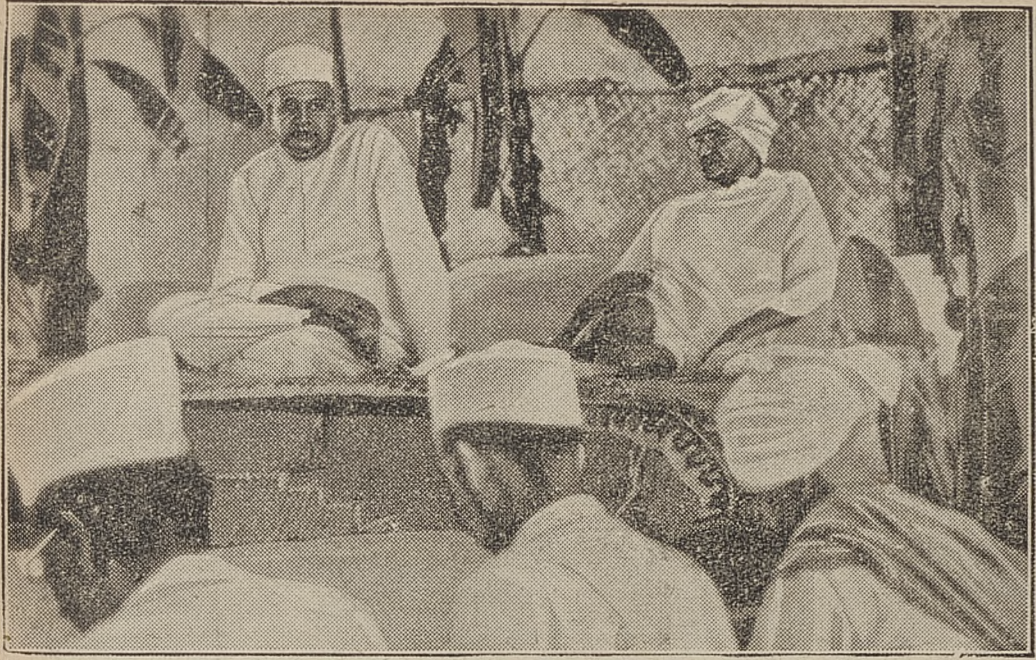
— Przyjm mój biały bracie — rzekł Masconjee do Leona — to, czym nas Wielki Duch obdarzyć raczył!

Zbliżył się do ogniska, a Leon poszedł za jego przykładem.

Kudia podawała gościowi potrawy swą wąską, brunatną rączką. Wyszukała dla niego najsoczystszy kawał melonu, najpiękniej wypieczony placek i najkruchszą część pieczeni. Równocześnie spoglądała na niego swymi łagodnymi, miłymi oczyma.

Po skończonej wieczerzy wyjął Masconjee z kąta flaszkę z wódką.

— Jest to „ognista woda" — rzekł do Leona — jeden łyk tego napoju wzmacnia członki, rozjaśnia oko, dodaje nogom lekkości i zaostrza spryt. To biali dali nam ten trunek, aby nas zgubić, bo my czerwoni nie znamy miary i gdy się raz do flaszki weźmiemy to nie odstawiamy jej, dopóki w żyłach nie czujemy gorąca, a w głowie zupełnego zamieszania. Wtedy mordujemy, palimy, własny grób kopiemy! Tak, biada czerwonemu, gdy się do tego przyzwyczai, bo ten nałóg jest jego gorszym nieprzyjacielem, niż wszyscy biali razem i niż wszystkie złe duchy.



Przywódca narodowych Indyj Mahatma Gandhi (w okularach) w ostatnich czasach ciężko zachorował.

Po długiej i patetycznej tej przemowie przyłożył on flaszkę do ust, łyknął z niej należycie i odjąwszy ją widocznie z całym wysiłkiem woli, podał swemu gościowi, a potem schował ją tak śpiesznie do schowku, z którego ją wyjął, jak gdyby się bał dalszej pokusy.

Położywszy się na swe łoże, skinął Kudii, która pięknym, altowym głosem zaczęła wyśpiewywać monotonne i rzewne pieśni Indian. Rozmarzyły one Leona tak, że zapadłszy w rodzaj pół snu na jawie czuł się bezgranicznie szczęśliwym; zdawało mu się bowiem, że słyszy dźwięczny głos swej żony.

Następnego dnia wszyscy Winebagowie zajęci byli przygotowaniami do wielkiej uroczystości.

Mężczyźni tatuowali się na nowo i przystrajali swoje czuby świeżymi piórami. Kobiety przeplatały warkocze szklanymi paciorkami, wkładały naszyjniki z kłów zwierzęcych i także odświeżały swoje znaki na ramionach.

Leon, nie mając nic do czynienia, chodził sobie po wsi i niemało się zdziwił, gdy spotkał Billa przebranego zupełnie za Indianina, nie brakowały nawet nastawione włosy i pióra na głowie, znaki wypalone na ramieniu i piersi i skóra bawoła, przewieszona przez plecy, wraz z kindżałami, pistoletem i nożami za pasem. Leon nie mógł się powstrzymać od śmiechu na widok jasnowłosego Anglika w tym dzikim przebraniu, ale on sam wyglądał bardzo ze siebie zadowolony.

— Włożyłem znów strój Winebagów — rzekł — bo raz już cały rok z nimi żyłem. Miałem dla siebie osobny wigwam i towarzyszyłem im w ich wyprawach wojennych i na polowaniach. Nazywali mnie białym niedźwiedziem, bo nie umiałem się tak skradać jak oni. Miałem już nawet ożenić się z Indianką i tym samym na zawsze przystąpić do ich szczepu, ale że się boję kobiet jak diabła i to zarówno białych, czarnych, jak i czerwonych, więc opuściłem ich i wróciłem do białych. Ale wróćmy do ciebie, Jim! Chcę ci dać kilka wskazówek przed rozpoczęciem uroczystości. Czy jesteś zaopatrzony w broń?

— Mam nóż i pistolety, ale bez kul i prochu — odparł Leon.

— O, to dam ci trochę swojej amunicji — rzekł Bill — bo jak się Indianie napiją wódki, to są w bardzo wojowniczym usposobieniu i czepiają się głównie białych. Radzę ci więc, miej się na baczności!

— Nie obawiam się! — rzekł Leon pogardliwie.

— Podobasz mi się! — zawołał Bill. — Jak Lew zobaczy jakiś odważny, to zmieni zdanie o tobie, bo teraz nazywa cię chwiejącą się trzciną.

Było to Leonowi zupełnie obojętnie, co Lew o nim myślał, nie zdradził się jednak z tym przed Billem, aby go nie zrazić. Spotkawszy się z kilku Indianami, poszedł Bill z nimi na plac uroczystości, Leon zaś udał się do lasu.

Wtem usłyszał za sobą lekkie kroki i odwrócił się. Przed nimi stała Kudia i złapawszy go za rękę, pociągnęła w głąb lasu.

— Chodź ze mną — rzekła łamaną angielszczyzną, która w jej ustach brzmiała ogromnie melodyjnie. — Kudia musi z tobą pomówić!

Leon poszedł za nią zdziwiony, podziwiając grację i wdzięk, który wykazywała w każdym ruchu. Przed jednym pagórkiem stanęła wreszcie.

— Mój biały bracie — rzekła łagodnie — gdy Kudia jeszcze była małą dziewczynką, obchodzono raz uroczystość Wielkiego Manitu (Ducha). Było wtedy między nami dużo białych i żyliśmy z nimi w przyjaźni. Wtem nadszedł dzień uroczystości, mężczyźni nasi napili się dużo ognistej wody (wódki) i pokłóciwszy się z białymi, pozakłuwali ich swoimi nożami. Tu na tym miejscu pochowali ich później, aby spoczywali dopóki ich wielki duch nie obudzi. A teraz pytam ci się, biały mój bracie, czy chcesz pomnożyć liczbę nieboszczyków co tu spoczywają? Czy ci życie niemiłe? Błagam cię, uciekaj dopóki czas. Kudia wyprowadzi cię z tego lasu, Kudia przyniosła ci pimmikon i arrowroot, opuszczaj więc wigwam nasz natychmiast, jak ci życie miłe!

Piękne jej oczy spoczywały na nim z wyrazem trwogi. Podniosła do niego błagalnie drobne swe ręce.

Leon patrzył na nią ze wzruszeniem, ale obawy jej zdawały mu się płonne, bo pomyślał, że gdyby niebezpieczeństwo było rzeczywiście tak wielkie, toby go Bill był ostrzegł.

— Dziękuję ci, dobra Kudio! — odpowiedział Leon łagodnie, ściskając ją za rękę — jesteś dobrą, poczciwą dziewczyną i niech cię Wielki Duch za dobroć twą wynagrodzi, ale ja się twoich współplemieńców nie boję i dlatego zostanę we wsi.

— Jak chcesz, panie! — znikła w krzakach.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułożył Witold Mataczyński — Łysinin

Nie	ciel	mo	bar	den
a	szko	je	ja	że
ja	po	le	nie	dzo
za	ciel,	dzi	ja	ko
nam	przy	przy	wie	wie
ja	le	le	nie	ko

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

DOMYŚLANKA

Ż.. j..t, g.. cz..w..k m..i zn... c n....cz.ś..a, a.. ..rzej, g.. o.e .o l..sz.ie ..ynią.

Na miejsce kropek postawić litery tak, aby można było odczytać złotą myśl, wypowiedzianą przez Św. Grzegorza.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 8 grudnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 47 „Moich Powieści": Krzyżykówka sylabowa:

		Ko	bie	ta		
	mo	ra	■	ra	ma	
	re	■	al	pa	ka	
ko	le	je	■	ta	ta	rak
le	■	■	■	■	■	ge
ga	le	ra	■	niec	za	ska
	ga	ma		■	ko	
	ry	ja	■	to	ra	
		na	cią	g[illegible]		

Bilety wizytowe: 1) Lektorka. 2) Ogrodniczka, 3) Marszantka.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Pluta Helena — Grodno, Grudziński Zygmunt — Poznań, Gralewski Antoni — Katowice, Hodzierski Jan — Grudziądz i Bultrowicz Wacław — Gniezno. (Krzyżykówka niezupełnie dobrze rozwiązana).

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Grudzińskiemu z Poznania i Gralewskiemu z Katowic.

ADAM CZEKALSKI

10)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Bynajmniej, panie Świeczka. Ale, zamiast pana, z kolei ja będę narzekał na pana, że nas trzymasz przy sobie i nie chcesz nakarmić zgłodniałych naszych żołądków i napoić spragnionych gardeł.

— Ależ służę, najchętniej służę! Panie Jakub!

— Już jestem.

— Stolik dla panów, kartę.

— Się robi w tri migi.

Poszli do niszy, znajdującej się w zacisznym kąciku, odosobnionym od innych stolików i tam usiedli. Kiedy na stole znalazły się zamówione potrawy zajęli się jedzeniem, podczas którego Barłamp mówił:

— Słuchaj, wonna lilijko policyjnego chowu, co ci powiem.

— Słucham cię, foko mórz spirytusowych, z najbardziej zbożnym skupieniem.

— Czy wiesz gdzie byłem, kalafiorku?

— Dowiesz się, gdy mi powiesz.

— Odpowiedź godna wyroczni bałuckiej. Otóż wiedz o tym, że co dopiero wróciłem z Warszawy i ciebie właśnie poszukiwałem, konwalijko najwonniejsza. — Jest robota i to, powiadam ci, robota całą gębą.

— Powiadajże dokładniej, o co chodzi, bo już od pół godziny napomykasz i napomykasz o czymś ciekawym, ale jak dotąd, nic skombinować nie mogę, o co tu chodzi.

— Zaczynasz się obawiać o twój móżdżek.

— Mniejsza o niego, powiadaj — wo ist der Hund begraben?

— Słuchaj... — Barłamp zniżył głos do szeptu i mówił dalej: — Jest afera. U nas, w Łodzi. Afera indyjska, czy coś w tym guście. Coś tajemniczego. Podobno wiąże się to z aferą szpiegowską.

— Rzuć nazwiskiem.

— Borowicz.

— Wiem. Ta sprawa jest u mnie na tapecie. Właśnie przed chwilą dostałem ją w swoje ręce i zaczynam nad nią myśleć.

— To mało i za późno.

— Czemu to?

— Dzisiejszej nocy Borowicz będzie miał gości.

— Ciekawe. Któż to?

— Jacyś hindusi, ci sami, którzy przyjechali przed kilku tygodniami do Łodzi w sprawie poczynienia zamówień na materiały włókiennicze dla firm bengalskich, czy jakichś innych.

— Podobno Borowicz jest przedstawicielem tych firm?

— Tak opowiada on sam, ale gdzie leży prawda, jest to obowiązkiem naszym dowiedzieć się, a dowiemy się, jak mam nadzieję się łudzić, w najbliższym czasie. Ale czy ty wiesz, że mister John Borowicz przeprowadził się z Piotrkowskiej?

— Nie powiadaj. Przecież jeszcze wczoraj mieszkał na dawnym miejscu.

— To prawda, mieszkał tam nie tylko wczoraj, ale nawet dzisiaj do obiadu, wizytówka na drzwiach wisi do chwili obecnej, mieszkanie to zajmuje on dalej, ale w rzeczy samej nie mieszka. Znasz pałac Rostafińskich, w którym podobno straszyło i niby z tej przyczyny od lat stoi pustką?

— Oczywiście, że znam, bo w swoim czasie zlikwidowałem tam doskonale urządzoną karciarnię i dom schadzek.

— Otóż szlachetny pan John Borowicz wynajął ten pałacyk i teraz posiada dwa mieszkania.

— Po co mu to?

— Jak ty doprawdy mało jesteś domyślny, stary świerku — obruszył się Barłamp. — Gdybym cię nie znał tak dobrze, jak cię znam, posądziłbym cię o naiwność. Ale widzę, że jednak będę ci musiał wszystko dokładnie od początku do końca opowiedzieć.

— Słucham cię, mimozo najmilsza.

Barłamp parsknął śmiechem, wpakował do ust kawał mięsa i przez chwilę milczał, po czym zapiwszy winem, odezwał się:

— Znasz ty Aleksandra Barłampa?

— Nie, nie utrzymuję żadnych stosunków z takimi indywiduami, jak ty. Ale o co chodzi?

Barłamp znowu parsknął śmiechem.

— Otóż, wonna lilio wywiadu policyjnego, ten Aleksander Barłamp jest to bardzo wielkie „nic potem". Zamiast robić w drelichach, czy jedwabiach, jak to życzy sobie jego wielce szanowny ojciec, woli podzielić role w ten sposób, że ony rodzic robi pieniądze, a on je wydaje. Ponadto dla prostej fantazji, zabawia się dość często w prywatnego detektywa ku rozrywce swojej własnej i bliźnich swoich.

— Po co ty m to wszystko mówisz? Czyż nie znam cię, typie spod ciemnej gwiazdy? Czyż to raz widziałem cię przy robocie?

— Zamilcz, lilio elegancji i słuchaj dalej. Oto zdarzyło się, że owo „nic potem" otrzymało wezwanie do Warszawy od swego dawnego kapitana Olśnickiego, od swojego wodza z czasu odbywania ćwiczeń rezerwowych. Naturalnie — jadę tam pierwszym pociągiem i dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy o mister Johnie. Ponadto jestem proszony o pomoc. Zapalam się z miejsca do sprawy, bo czuję na odległość, że to sensacja, jakiej jeszcze w Łodzi nie było. Wracam do Łodzi i nie mieszkając, wącham dokoła pana Borowicza. I wiesz, czego dowiaduję się w czasie rekordowo krótkim? Oto o zmianie mieszkania przez mister Johna, o spotkaniu naznaczonym na wieczór dzisiejszy i o wielu, wielu sprawach, o których ty nawet nie przypuszczałeś, policyjny Petroniuszu.

— Powiadaj, Oleś, powiadaj szczegóły.

— Radbyś, chłopcze? — roześmiał się Barłamp. — Zgoda, ale nic ci nie będę dalej mówił, tylko zaprowadzę cię na miejsce o oznaczonej godzinie i pokażę ci wszystkie zgromadzone w pałacu Rostafińskich typki, ale jeśli wtedy nie uznasz, że ja zrobiłem kapitalne naprawdę odkrycie — znać cię nie chcę więcej.

— Z góry przyznaję to. Ale kiedyż to wszystko ma się stać?

— Dziś około godziny jedenastej wieczorem.

Kulka spojrzał na zegarek i zauważył:

— A więc za dwie godziny?

— Coś koło tego, o ile jest teraz godzina dziewiąta. My jednak musimy tam być daleko wcześniej.

— Dziękuję ci, że pomyślałeś o mnie.

— Bo cię potrzebuję. Ty znasz dobrze cały pałac, wszystkie jego zakamarki, bo w swoim czasie likwidowałeś tam karciarnię i dlatego musisz pewnie znać wszelkie wejścia, wyjścia i przejścia.

— Możesz mi zaufać.

— Noto i dobrze. Chodzi teraz o to, ażebyśmy mogli dostać się gdzieś w takie miejsce, skąd moglibyśmy zarówno wszystko dobrze widzieć, jak i słyszeć. Od tego bowiem zależy całe powodzenie dalszych naszych kroków.

— Możesz na mnie polegać całkowicie pod tym względem. Ale jeżeli chcemy dostać się na punkt obserwacyjny, musimy tam udać się zaraz.

— Więc płaćmy i w drogę. Broń masz?

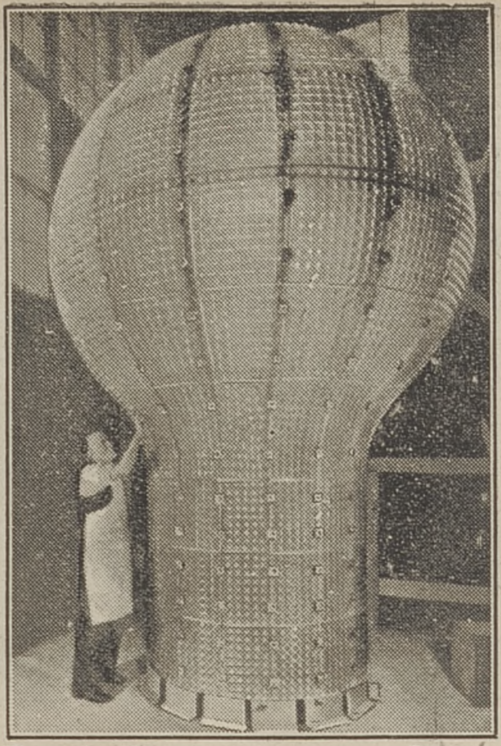
Kulka spojrzał na przyjaciela wzrokiem tak dziwnym i zgorszonym, że Barłamp roześmiał się wesoło i zadzwoniwszy na kelnera, zapłacił rachunek i obaj opuścili bar.

W pół godziny później obaj detektywi znaleźli się już w okolicy pałacyku Rostafińskich i tutaj Kulka objął przewodnictwo. Brama wjazdowa była zamknięta na głucho i cały pałac zdawał się być zupełnie niezamieszkały i martwy. Nigdzie najmniejszego błysku światełka, nigdzie najmniejszego znaku życia.

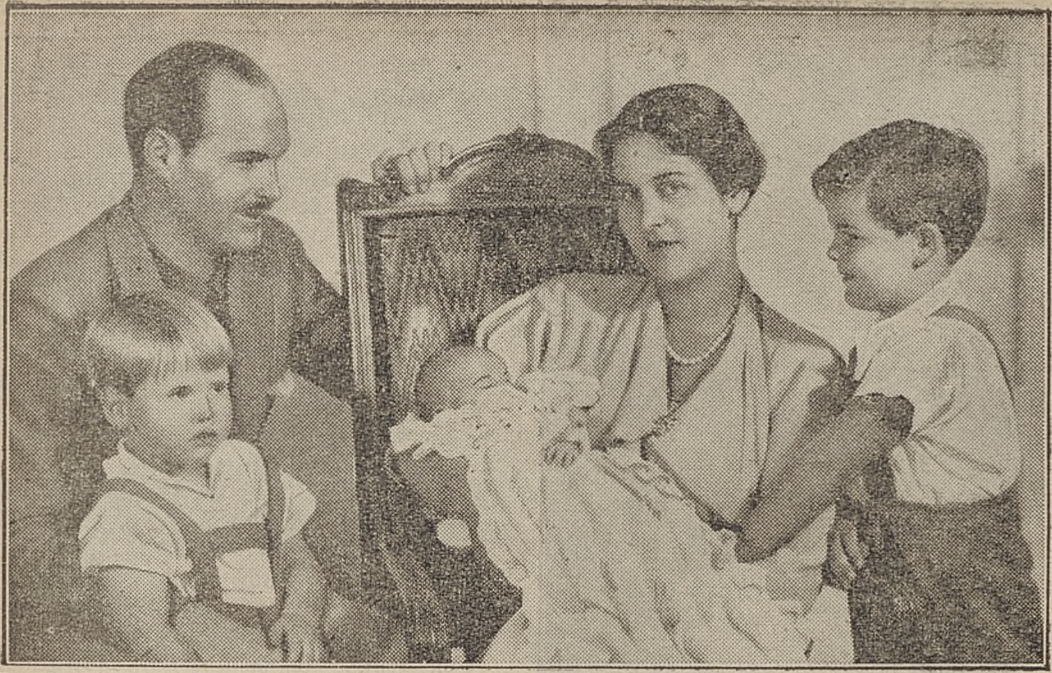
— Pójdziemy od tyłu i przedostaniemy się do parku — szepnął Kulka. Barłamp w odpowiedzi skinął potakującą głową.

Ruszyli naprzód. Obeszli dokoła cały plac i w miejscu zupełnie pustym i głuchym przedostali się przez parkan do niewielkiego parku, przez który, na pół zarośniętą krzakami i zapuszczoną aleją poszli ku budynkowi.

— Nie wygląda mi ten pałac na zamieszkany, perełko — rzepnął Kulka.



W stanie New Jersey w Ameryce Północnej zbudowany będzie pomnik — wieża ku czci Edisona, na szczycie której umieszczona będzie kula świetlna, zbudowana z płyt szklanych. Niezwykła ta lampa dawać będzie najsilniejsze światło na świecie.



Rodzina książąt Heskich Donatus, która — poza najmłodszą córeczką — zginęła w niedawnej katastrofie samolotowej pod Ostendą.

— Pozory, tylko pozory, Petroniuszu. Zaraz zobaczysz gości.

Jakoż prawie w tej samej chwili w jednej z komnat na parterze rozbłysło światło elektryczne i oblało pokój mlecznym blaskiem. Barłamp ścisnął mocno ramię Kulki. Obaj detektywi przystanęli i zaczęli przyglądać się uważnie temu, co działo się wewnątrz oświetlonego pokoju. Zobaczyli więc służącego Borowicza, popularnego już w Łodzi Hindusa Dario, który ustawiał krzesła i przygotowywał jakieś papiery na stole do mającego nastąpić zebrania.

— To tutaj, perło uriańska — szepnął Barłamp.

— Będziemy mogli doskonale widzieć i słyszeć wszystko, nie potrzebując wdzierać się pod okno czy też szukać innego wygodnego locum.

— Ciekaw jestem jak to zrobisz, aby z tej odległości, w jakiej się znajdujemy w tej chwili, można było słyszeć cokolwiek z zamkniętego pokoju.

— Kajaj się, nadobna natorośli Barłampów, kajaj się, albowiem o wielu rzeczach zawsze pamiętasz, ale tym razem pokpiłeś i zapomniałeś o zabraniu aparatu podsłuchowego.

— Padam na twarz przed tobą geniuszu!

— Nie czyń tego, bo sobie ubranie powalasz, ale lepiej podsadź mnie do okna, abym mógł świderkiem przewiercić dziurkę i założyć mój genialny aparacik.

— Poczekaj chwilę, aż ten czarny homunkulus oddali się stąd.

Detektywi przystanęli w cieniu drzewa i przebierając na miejscu nogami, bo mróz brał na noc bardzo ostry, czekali cierpliwie, dopóki Dario nie opuści pokoju, aby z kolei mogli swoje zamierzenie uskutecznić. Mijały długie minuty, a Hindus wciąż kręcił się po komnacie, przestawiając krzesła, ścierając korze, ustawiając najrozmaitrze przedmioty na stole. W końcu obrzucił krytycznym wzrokiem cały pokój, zasunął rolety w oknach, zgasił światło i oddalił się.

— No, teraz my obaj „chodaj" pod okno, rybeńko — rzekł Kulka.

Poszli szybko do tego okna! — zauważył Kulka.

— Podsadzę cię. Staniesz na moich ramionach i dostaniesz się pewnie do niego. A gdyby nie, musimy postarać się o jaką drabinę.

Lecz drabina nie była wcale potrzebna. Kulka, stanąwszy na barkach przyjaciela, uczepił się okratowania okna i podciągnął się do góry. Po chwili Barłamp usłyszał delikatne skrzypienie świdra, wwiercającego się w miękki miąższ z drzewa. A zaledwie Kulka zdołał uporać się z przewierceniem dziury, gdy gdzieś opodal dał się słyszeć warkot motoru samochodowego, który zatrzymał się przed bramą.

— Śpiesz się, stary, bo goście przybywają — syknął Barłamp.

— Jeszcze sekundę, a zaraz wszystko będzie gotowe.

Czas jakiś Kulka majstrował coś tam przy oknie, a gdy w końcu zeskoczył i oznajmił, że wszystko gotowe, znowu nadjechał samochód, brama się otworzyła i wpuściła przybyłych do wnętrza, a w górze nad nimi kilka okien rozbłysło światłami.

— Goście przyjechali — zauważył Barłamp. — Dajno aparacik, posłucham o czym mówią, bo pewnie mówić będą po angielsku, a ty Petroniuszu nie supranti ingliszki.

— Skąd pewność, że będą mówić po angielsku?

— Stąd, słoniu maharani, że przeważnie są to Hindusi z małą domieszką innych nacyj, o czym mogłeś się przekonać choćby z ilustracji w „Kurierze Łódzkim", gdzie były zamieszczone ich podobizny, kiedy przybyli do Manchesteru.

— Uważaj — szepnął ostrzegawczo Kulka — ktoś nadchodzi.

Detektywi przyczaili się pod drzewem, nadsłuchując. Istotnie, ktoś nadchodził, bo słychać było bardzo dokładnie skrzypienie śniegu pod butami. Mimo woli obaj, prawie jednocześnie, jakby na komendę, ścisnęli mocno kolby pistoletów. Księżyc, który w tej chwili wyłonił się zza chmur i przedarł przez sploty gąszczu obnażonych konarów drzew, ukazał im postać ludzką, idącą aleją od strony, z której i oni przyszli.

Kij czort wlecze się tu teraz? — mruknął gniewnie Barłamp.

Kulka nie odpowiedział. A tymczasem postać ludzka zbliżała się coraz bliżej i bliżej. Detektywi czekali, gotowi każdej chwili skończyć przeciwko napastnikowi i obezwładnić go bez krzyku i hałasu. Kulka, który przywarował do pnia ogromnego kształtu, bystrym wzrokiem wpatrywał się w postać ludzką, idącą ki nim. Po chwili powstał i zaśmiał się cicho.

— Co robisz, wariacie! — zgromił go Oleś.

— Toż to komisarz Krajewski.

— Tfuj, do licha!

Ale i komisarz zobaczył już dwa cienie ludzkie i zaczął iść teraz już wprost ku nim, starając się robić jak najmniej hałasu.

— Co nowego, panie Kulka? — spytał następnie szeptem, gdy znalazł się tuż przy czekających detektywach.

— Czekamy, panie komisarzu, na gości.

— Już przyjechali.

— Ale skąd pan komisarz wziął się tutaj?

— O tej naradzie wiedziałem, bo przewodniczący delegacji kalkuckiej oficjalnie o tym mi doniósł, czyniąc aluzję, że gdyby ktoś chciał przybyć ze sfer przemysłowo - handlowych, będzie mile widzianym.

— Ba! Ale cóż to pan ma za związek z tymi sferami? — rzekł Barłamp.

— Wtym właśnie sęk, dlaczego właśnie mnie zawiadomiono. W tej sprawie bowiem należy zwrócić się do prezesa związku przemysłowców, ale nie do władzy policyjnej i dlatego postanowiłem z ukrycia posłuchać, o czym będzie się tu mówiło.

— No, ale ja jak ja, ale pana jakie wiatry tu przywiały, panie Olesiu?

— Warszawskie, komisarzu, warszawskie. Ja, zresztą, bywam zawsze tam, gdzie najmniej jestem spodziewany.

— Kiszka w gardle? — zwrócił się komisarz do Kulki.

— Tak, przed chwilą zdołałem ją założyć i teraz czekamy na rezultat jej działania. Spodziewam się, że i tym razem, jak wielokroć przedtem — nie zawiedzie.

— All right! Słuchajcie sobie tedy do woli, a ja tymczasem pójdę załatwić inne sprawy. Jest nowa robota.

— No, cóż tam ciekawego?

— Zaciągamy sieci nad międzynarodową bandą złodziei byłego pułkownika carskiego, Mariana Sułhanowa. Prawie wszystkie rybki idą wspaniale do sieci.

— Powodzenia w pracy.

— Nawzajem.

Komisarz odszedł cicho i po chwili wsiąknął w cieniu nocy, zaścielającej cały park. Barłamp przystawił słuchawkę do ucha i syknął ostrzegawczo ku Kulce. Właśnie tam, na górze, nad ich głowami, w pokoju, który z taką starannością przygotowywał służący Borowicza — Dario, zaczyna się ruch, szuranie krzesłami i odsuwanie, czy też przesuwanie stołów.

— Wchodzą — szepnął Barłamp. — Zachowuj się teraz cicho i nie przeszkadzaj mi.

— Dobrze — odrzekł Kulka. — Tylko słuchaj uważnie i notuj w pamięci wszystko, co wyda ci się potrzebnym.

— Pst!

Nastała pod oknem cisza taka, jakby żywego ducha tutaj nie było. Barłamp przemienił się cały w słuch i wchłaniał gardłowe słowa angielskie, padające tam na górze, jak gąbka płyn.

— Mister Borowicz — mówi jakiś bas — zechciej pan objaśnić nas, jak daleko posunięta została naprzód sprawa, którą powierzyliśmy panu?

— Jest na najlepszej drodze do pomyślnego zakończenia, mister George — odrzekł zapytany — ale na wszystko potrzeba czasu.

— Dość długo już trwa to wszystko, a wyniki, jak dotąd, zbyt mizerne.

— Powiedziałem — muszę mieć czas, sprawa nie jest łatwa.

— Za kwartał upływa termin zgłoszenia praw do spadku, po czym cały majątek mister Stanley'a Krupińskiego przechodzi na rzecz fiskusu cesarstwa Indii. Pan musisz w dniach najbliższych zakończyć sprawę.

— Postaram się, ale — powiedziałem: rzecz idzie opornie.

— Czy nie masz dostatecznej władzy, aby zmusić oporną do posłuszeństwa?

— Żal mi jej.

Kilka słów zagadało w tej chwili jednocześnie i wytworzył się chaos, z którego słuchający Barłamp nie wiele mógł wywnioskować. Nie mniej atoli tym uważniej słuchał, bo treść rozmów stawała się dla niego niesłychanie ciekawą.

— Mister Borowicz — odezwał się znowu gardłowy, tubalny głos człowieka, który pierwszy zagaił dzisiejsze zebranie — władza, jaką dali panu wtajemniczeni, nie po to udzielona ci została, abyś miał niszczyć ją nieopatrzną litością.

— Wiem o tym!

— Tym lepiej, mister Jahn. Ale skoro wiesz, powinieneś pamiętać również i o tym, że tu chodzi o milion w złocie, o ogromny majątek, z którego i ty swoją część otrzymasz.

— Wiem o tym — powtórzył Borowicz. — Ale bodajbym się był nie podejmował tego zadania.

— Dziś za późno na żale.

— To pewna, że za późno — zgodził się z melancholią w głosie Borowicz.

— Wydaliśmy już wiele, siedzimy tutaj bez celu i potrzeby od tygodni, aby tobie pracę ułatwić, a tymczasem, gdy zdawało nam się, że dopływamy do celu, dowiadujemy się nagle od ciebie, że zbudził się w tobie żal.

Borowicz nie odpowiedział, a tymczasem przewodniczący delegacji kalkuckiej mówił dalej mentorskim, surowym głosem:

— Rada kapłańska domaga się bezzwłocznie ukończenia sprawy. Czyń co chcesz i co czynić powinieneś, aby koniec był jak najprędszy.

— Przysięgłeś być wiernym radzie kapłańskiej — odezwał się znowu jakiś nowy głos — pamiętaj!... Wiesz, jaką posiadamy moc, wiesz, że nie uchroni cię nikt przed zemstą rady, czemuż się tedy wahasz?

Borowicz milczał, a słuchający Barłamp aż drżał z nerwowego podniecenia.

— Ty, człowiek biały, człowiek nam obcy — zahuczał znowu bas przewodniczącego — wybrany zostałeś do spełnienia misji, która jest pierwszą próbą twoją. A takich prób musisz spełnić jeszcze kilka,



W jednej z dzielnic Londynu burzy się stare domki, celem wybudowania nowego teatru narodowego.

zanim przyjętym zostaniesz do rady i osiągniesz doskonałość yogów.

— Człowiekiem jeno jestem... ułomnym... — wyrzekł drżącym głosem Borowicz. — Nie jestem godzien zaufania, jakim obdarzyła mnie rada, albowiem w chwili rozstrzygającej zachwiałem się... Przebaczcie.

— Aby uzyskać przebaczenia, musisz sobie na nie zapracować.

— Będę wiernym.

— Pamiętaj! Inaczej biada ci! Nie zaznasz spokoju, nie zaznasz wytchnienia, błąkać się będziesz po ziemi jak wyrzut sumienia, a wszystko zło towarzyszem jedynym twoim będzie w wędrówce życiowej.

— Będę wiernym — powtórzył już mocniej Borowicz. — Pamiętam, że matka moja pochodziła z szlachetnego rodu brahminów, odwiecznych członków rady kapłańskiej, chociaż ojciec z dalekiej północy przybył.

— Przez to właśnie jesteśmy dla ciebie pełni łaskawości. Ale wzamian żądamy bezwzględnego posłuszeństwa i spełnienia rozkazów rady kapłańskiej, którą tutaj my czterej reprezentujemy.

— Skłaniam głowę i... przyrzekam wypełnić rozkaz.

Chwilę trwało milczenie, w czasie którego Barłamp aż febrycznych dreszczów dostał, tak bardzo był podniecony.

— Cóż tam? — szepnął Kulka.

— Sensacja, jakiej Łódź nie miała dotąd, jak długo istnieje.

— Nie powiadaj... Oleś, o co chodzi?

— Zamknij twarz, gdy do mnie mówisz, noworodku, i daj mi wysłuchać wszystkiego do końca.

Kulka umilkł, chociaż płoną ciekawością i w tym momencie może najbardziej w życiu żałował tej jednej rzeczy, że nie rozmawiał po angielsku. A tymczasem na górze znowu przewodniczący zaczął mówić głosem surowym i stanowczym:

— Mister Borowicz, udzielamy ci dwadzieścia dni czasu do ostatecznego załatwienia sprawy, to jest — do zawarcia związku małżeńskiego z Alicją Krupińską. Termin ten jest ostateczny i ani o jedną minutę przekroczonym być nie może.

— A jeśli nie dokonam po dobrej woli tego, czego się podjąłem?

— Wiesz, co cię czeka.

Borowicz skłonił głowę i milczał, tylko oczy jego, oczy pochodnie, gorzały jakimś przedziwnym blaskiem, blaskiem zupełnie innym, niż kiedykolwiek przedtem i muskuły twarzy drżały nerwowo z ogromnego podniecenia. W tej chwili odbywała się w nim straszna, nieubłagana walka prawdziwej miłości, jaką tak nieotrznie zapłonął do Lilii z obowiązkiem jakże twardym i nieubłaganym. Wszyscy czterej jego towarzysze obserwowali go uważnie spod krzaczastych, na oczy nasuniętych brwi, rozumiejąc, co się w nim dzieje teraz, jaka walka się odbywa. Każdy z tych czterech poważnych, surowych mężów, członków rady kapłańskiej, zapewne przeżywał w swojej młodości niejedną podobną walkę, zapewne niejeden raz odbywały się w nich takie zapasy śmiertelne. Były to dziś już bardzo odległe czasy, należąca do niepowrotnej przeszłości. Nie mniej jednak czasy takie i oni mieli.

— Czekamy — odezwał się najstarszy z brahminów, odgrywający rolę przewodniczącego.

— Czekamy — powtórzyli trzej inni.

Ale Borowicz milczał. Tylko twarz jego mówiła, tylko z jego twarzy można było czytać dokładnie jak na dłoni wszelkie myśli i zamiary.

— Będę posłuszny — wyrzekł w końcu Borowicz i zasunął się głęboko w krześle, zmordowany ponad wytrzymałość nerwów, spocony ogromnie i dyszący ciężko.

— Jestem godnym spadkobiercą rodu swojej matki — rzekł nieco łagodniej już najstarszy z Hindusów. — Miłość jest rzeczą nikczemną, a obowiązek ponad wszystko ważyć sobie należy.

— Będę posłuszny — powtórzył już twardziej mister John.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



Niedziela, dnia 5 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z Wilna. Po nabożeństwie około godz. 10.00 muzyka religijna 12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Marszałek Piłsudski wychowawcą polskiej młodzieży" — odczyt dla młodzieży ze Lwowa 16.00 Koncert solistów 17.00 „Rapsodia Litewska — Mieczysława Karłowicza 17.20 „Józef Piłsudski o swoim życiu" — fragment z pism Marszałka 18.00 „Od Warszawianki do I-szej Brygady" — melodie i pieśni bojowników wolności 19.00 „W cieniu wielkości" — rapsod poetycki z wierszy Iłłakowiczówny 19.30 Słynni wirtuozi — VIII audycja 21.15 „Święty Mikołaj w królestwie eteru" — lekka audycja ze Lwowa 21.45 „Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki" — III audycja 22.05 Polskie tańce z przed 50-ciu lat.

Poniedziałek, dnia 6 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu" — w wytwórni 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Śląska kapela ludowa 17.00 „Roland Eötrös — znakomity fizyk" — odczyt 17.15 Koncert muzyki fińskiej 18.10 Pieśniarz murzyński 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Dyskutujmy — W poszukiwaniu autorytetu" 20.00 Muzyka lekka i taneczna 22.00 Arcydzieła muzyki symfonicznej — IV audycja.

Wtorek, dnia 7 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Rondo" w koncertach Beethovena 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych 16.15 „Tańczymy przy dźwiękach mandolin" — orkiestra mandolinistów 17.00 „Przez górskie pola walk w Hiszpanii" — odczyt 17.15 Muzyka rozrywkowa w wykonaniu orkiestry salonowej 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór V. 19.30 Wieniec pieśni górniczych 20.00 „Nokturn" — opera w 1 akcie Mikołaja Łysenki 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Recital fortepianowy Angielki Morales 22.30 Orkiestra Lajasa Kissa.

Środa, dnia 8 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Bralina (przez Poznań) 11.00 Lekkie intermezza i serenady 12.03 Poranek symfoniczny (z Katowic) 13.20 Muzyka obiadowa z Wilna 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Dzieci z całej Polski na Swaczynie u Dorotki" — audycja dla dzieci 16.15 Recital skrzypcowy Józefa Salacza 17.00 „Kult Matki Boskiej u rycerstwa polskiego" — odczyt 17.15 I. koncert muzyki religijnej w wyk. Poznańsk. Chóru Katedralnego 17.50 „O determiniźmie" — odczyt 18.05 Polska kapela ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 19.00 Rozmowa Sforki z trombonistą z Horsztyńskiego — z udziałem Jaracza 19.15 Wieniec pieśni Śląska Cieszyńskiego 20.00 Piosenki lryczne i komiczne 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 9 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Romantycy — poranek muzyczny dla gimnazjów 11.40 Pieśni francuskie (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Koncert rozrywkowy w wykonaniu tria salonowego 17.00 Polska wyprawa naukowa do Egiptu 17.15 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Na miedzy" — słuchowisko 19.25 Koncert chóru polskiego ze Śląska Opolskiego 20.00 Film i operetka 21.45 „Śląsk tematem literackim" — szkic 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 10 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Gaspar Cassado 12.03 Audycja południowa 15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.15 Walce i serenady 17.00 „Co z alabastru robią w polskiej chacie" — pogadanka 17.15 Utwory wokalne 18.10 Zespoły wokalne w operetkach 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Pieśni poddasza" — Kurant staroświecki 19.30 Nieznane pieśni 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 11 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Eryka Coatesa 12.03 Audycja południowa 15.45 Baśń p. tyt. „Jaś i Małgosia" — dla dzieci 16.15 Koncert solistów (z Katowic) 17.00 Spory literackie w starożytnym Rzymie — odczyt 17.15 Od Aten do Bayeruth (migawki z dziejów opery) IV audycja 18.15 Piosenki w wyk. Zofii Terné 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert rozrywkowy 21.30 „Dziesięć lat berów i bojek śląskich Karlika z Kacyndra" — wesoła audycja 22.00 Koncert popularny.



LICYTACJA

Za dawnych lat, kapelmistrz „Rozmaitości", Lewandowski, i reżyser baletu, Meunier, słynęli z humoru. Lewandowski opowiadał kiedyś, że specjalnie dla cesarzowej ułożył nowego mazura.

— A czy się podobał? — pytają go jednogłośnie.

— Dobrzy jesteście, czy się podobał? Wyobraźcie sobie, że kiedy go odegrałem, cesarz i cesarzowa biją brawo, bis! Gram drugi raz, to samo! Gram trzeci raz, cesarz bije brawo, a cesarzowa biegnie do mnie, łapie smyczek i całuje. Prawda, Meunier?

Ten odpowiada:

— Ech, cóż tam twój mazur! Opowiem wam moje zdarzenie: Tańczę błękitnego mazura, przetańczyłem raz, cesarz i cesarzowa brawo, bis! Tańczę drugi raz, znowu brawo, bis! Tańczę trzeci raz i nagle pęka mi but. Cesarz, widząc to, szybko zdejmuje but ze swojej nogi i rzuca na scenę, ja łapię, wkładam i kończę mazura! Prawda, Lewandowski?...

WĄTPLIWOŚCI BRYDŻOWE

Młode małżeństwo zasiada do brydża. Rozdano karty, wszystko zapowiada się jak najlepiej, Raptem mężatka, która jednocześnie jest początkującą brydżystką, odzywa się:

— Pozwólcie, że o coś męża zapytam, bo zapomniałam. Mój kochany, jeżeli będę miała pomoc w bez atu, to ile razy mam cię trącić nogą pod stołem?

W TRAMWAJU

Do tramwaju wsiada młody człowiek, ciągnąc za sobą zwinięty w rurę kawał linoleum. Konduktor poufale:

— Panie literat, zabierz pan ten rękopis na przednią platformę.

SPORTOWCY

— Czy późno wróciłaś wczoraj wieczorem do domu, Halino? — pyta ojciec.

— Tak, — odparła córka, mieliśmy zebranie „klubu sportowego 1937 r." i siedzieliśmy jeszcze na werandzie.

— „Klub sportowy 1937 r."? Nigdy jeszcze o nim nie słyszałem! — dziwi się ojciec. Kto jest członkiem tego klubu?

— Borowski... młody Borowski... wiesz tatusiu, Jerzy Borowski.

— I kto jeszcze?

— No... no i ja!

SIŁA NAWYKU

Stary lichwiarz budzi się na odgłos jakichś szmerów. Zapala światło i widzi złodzieja. Co prędzej chwyta rewolwer i mierzy w złoczyńcę.

Ten nie przestraszył się, lecz z całą zimną krwią proponuje:

— Rewolwer? Nie szkodzi. Wart jest najwyżej czterdzieści złotych. Daję za niego setkę.

— Zrobione — odpowiada lichwiarz, podając złodziejowi broń.

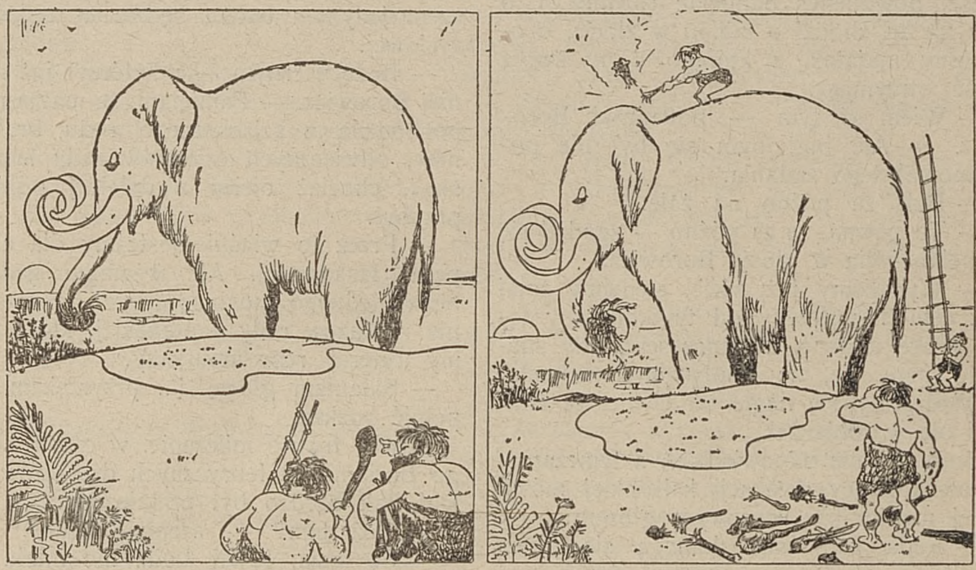
ŁADNA OKOLICA

Mąż do żony:

— No, Marysiu! Co ty mówisz o tej okolicy?

— Nie mogę formalnie wydobyć słowa.

— Doskonale! Wobec tego zostaniemy tu dwa miesiące!



Polowanie na słonia w epoce przedhistorycznej!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe, Żnin, nr. 1.